



# BIULETYN

## Trzemeszenia Kaszubsko Pomorskiego



ROK V

NR 3 (24)

GDANSK 1968

196/72



# BIULETYN

## Zrzeszenia Kaszubsko Pomorskiego



ROK V

NR 3 (24)

GDĄŃSK 1968

BIULETYN  
ZRZESZENIA  
KASZUBSKO-POMORSKIEGO



ZARZĄD GŁÓWNY  
ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO  
GDAŃSK

ROK V

MAJ 1968

NR 3 (24)



## SPIS TREŚCI

### ARTYKUŁY ■ POLEMIKI ■ Dyskusje

|                                                                             |    |
|-----------------------------------------------------------------------------|----|
| T. BOLDUAN - Pomorski rach oporu .....                                      | 5  |
| Z. BROCKI - Ulicer Władysław Abrahama, Budrysza,<br>Dantyski i innych ..... | 17 |

### PRZYCZYNNKI ■ MATERIAŁY ■ ARCHIWALIA

|                                                                                          |    |
|------------------------------------------------------------------------------------------|----|
| D. MAJKOWSKA - Mój ojciec / Ze wspomnień o Aleksan-<br>drze Majkowskim / .....           | 21 |
| Z. BROCKI, H.GÓRNOWICZ - Jak się nazywa potok od-<br>dzielający Kolibki od Sopotu? ..... | 38 |
| J. KARNOWSKI - Moja droga kaszubska /20/ .....                                           | 43 |
| J. POBŁOCKI - Na Kaszubach przed 100 laty /4/....                                        | 47 |

### KRONIKA ZRZESZENIA.....

53

### Z UŚMIECHEM PO NASZEJ ZIEMI.....

58

### RECENZJE ■ NOTY

|                                        |    |
|----------------------------------------|----|
| Biblioteka działacza pomorskiego ..... | 55 |
|----------------------------------------|----|

### POCZTA BIULETYNU

|                                     |    |
|-------------------------------------|----|
| Wpłaty na fundusz "Biuletynu" ..... | 69 |
|-------------------------------------|----|

**artykuły  
polemiki  
dyskusje**



TADEUSZ BOLDUAN

POMORSKI RUCH OPORU

W różnego rodzaju bibliografiach znajdujemy dziełki i setki publikacji poświęconych pomorskiemu ruchowi oporu, a zwłaszcza jego rozwiniętej formie - partyzantce. Świadczy to, że w różnych okresach po wojennego piśmiennictwa publicystycznego i naukowego zajmowano się okupacyjnymi dziejami Pomorza, najpierw w sposób odkrywczo-sensacyjny, potem coraz bardziej rozsądnie, usiłując wartościować zgromadzony materiał, a nawet wysnuwać pewne uogólniające wnioski.

Do syntezy pomorskiego udziału w walce z hitlerowskim okupantem jeszcze daleko, jeszcze niedostateczne są badania szczegółowe, przeprowadzone - jak dotąd - sporadycznie i wycinkowo, na podstawie szczupłych materiałów źródłowych, najczęściej jednostronnych /polskich/ i najmniej wartościowych, bo relacji ludzi bezpośrednio zaangażowanych w walce z okupantem i dzisiaj w różny sposób zainteresowanych w wyolbrzymianiu ich roli w tej walce. Można wręcz powiedzieć, że materiały pomocnicze stanowią dla badaczy pomorskiego ruchu oporu źródła pierwszorzędne. Stąd tyle sprzeczności, tyle spornych opinii w próbach definiowania zjawisk pomorskiej partyzantki, czy w wycinkowych ocenach.

Próbie całościowego spojrzenia na pomorski ruch oporu mamy w postaci pracy Leona Lubeckiego, opublikowanej w "Gdańskich Zeszytach Humanistycznych". Ten sam autor dał nam krótką monografię wysiłku zbrojnego harcerzy Wybrzeża z okupantem, opublikowaną w tym samym czasopiśmie. Najcenniejszą pozycją pozostaje jednak praca Edmunda Jakubiaka, przedstawiająca "Zarys działalności Tajnej Organizacji Wojskowej Gryf Pomorski", której fragmenty wydrukowały "Najnowsze Działy Polskie". Osobne miejsce wyznaczyć trzeba artykule Leszka Sławomirskiego o aspektach ideowo-politycznych ruchu oporu na Pomorzu /"Gdańskie Zeszyty Humanistyczne"/, który jednak - oprócz ambicji - nie posiada znamion pracy naukowej, za to stanowi dokument dowolnej interpretacji faktów historycznych i swoistej fantazji. Jeżeli o tej publikacji tutaj wspomniemy, to dlatego, że jest ona wartościowym przyczynkiem publicystycznym do zrozumienia różnorodnych interpretacji oblicza ideowego TOW "Gryf Pomorski" i schematycznego przenoszenia ocen krajowego ruchu oporu na ten rozwijający się na Pomorzu.

Każdą syntezę wyprzedzać muszą opracowania szczegółowe, powstające albo w ośrodkach naukowych, albo w indywidualnych warsztatach historyków, pozostających w kontakcie ze sobą. Nie można w tym przypadku gardzić publikacjami publicystycznymi, jeżeli oczywiście powstały one w wyniku zgromadzonego materiału źródłowego, lub zawierają oryginalne spostrzeżenia, mogące ułatwić historykowi dotarcie do źródeł mu nie znanych. I jeżeli hipotetycznie sugerują rozwiązania takich czy innych problemów, dla których nie ma dostatecznej podstawy faktograficznej. Gdybyśmy jednak sporządzili bibliografię selekcyjną ruchu oporu na Pomorzu, ostało by się w niej niewiele pozycji. Z wyjątkiem TOW "Gryf Pomorski", nie opracowano zarysów monograficznych pozostałych organizacji podziemnych,

nie dysponujemy w miarę pełnym spisem przywódców i dowódców tych organizacji, ich programami społecznymi i politycznymi, nie znamy wszystkich akcji bojowych /udokumentowanych/, rozmieszczenia bunkrów, systemu informacji itp. To wszystko, co dotąd napisano jest wycinkowe i nie zawsze zasługuje na zaufanie. Czy to oznacza, że stoimy w miejscu? Chyba nie. Wiele prac towarzyszących naszemu tematowi, a więc ogólnych o okupacji hitlerowskiej na Pomorzu / np. Emila Ogłózy, Tadeusza Kuty/, czy na temat eksterminacji ludności pomorskiej /Donalda Steyera, Andrzeja J. Kamińskiego/ zasługuje na uwagę. Z zainteresowaniem śledzimy też postęp prac badawczych nad całym pomorskim ruchem zbrojnym, prowadzonych przez ppłk. Konrada Ciechanowskiego pod kierunkiem prof. dra Witolda Łukaszewicza. Może więc z dotychczasowego piśmiennictwa i kontynuowanych badań wykluje się obraz ruchu oporu bardziej całościowy, syntetyczny?

Przykładem pierwszego, syntetycznego spojrzenia na pomorski ruch oporu jest artykuł prof. dra Czesława Madajczyka, opublikowany w toruńskich "Zapiskach Historycznych" /1967, nr 4/ i fragmentarycznie omówiony przeze mnie w "Literach" /1968, nr 4/. Prof. Madajczyk, kierownik Działu V Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk, wykazał rzetelną znajomość specyfiki pomorskiej podczas okupacji hitlerowskiej i trafnie ocenił podstawowe założenia toczonej na Pomorzu walki z okupantem. Autor dysponował nielicznymi opracowaniami, które po selekcji uznał za godne wykorzystania i przede wszystkim materiałami źródłowymi, wprowadzając również szczupłymi, ale wytworzonymi zarówno przez stronę polską, jak i niemiecką. Wykorzystanie jednych i drugich źródeł, odrzucenie spornych i sprzecznych relacji oraz niezależność emocjonalna pozwoliły Profesorowi spojrzeć na teren i charakter walk z okupantem obiektywnie, powiedziałabym nawet więcej - niezależnie od mniejszych lub większych istotnych presji po-

litycznych, którym podlegają badacze w mniejszych ośrodkach administracyjnych, skupiających miedawnych aktorów wydarzeń, w naszym przypadku partyzantów pomorskich.

Prof. Madajczyk omówił tylko kilka zagadnień związanych z pomorskim ruchem oporu, są to jednak zagadnienia bodaj najistotniejsze, pozwalające rozwiązać hipotetycznie całość spornych problemów związanych z powstaniem i rozwojem pomorskiej partyzantki i szerzej - ruchu oporu, którego trzonem organizacyjnym był "Gryf Pomorski". Jaka zatem była liczebność pomorskiego podziemia? W dotychczasowych publikacjach podawano liczby tak różne, że nie sposób było którąkolwiek z nich wybrać. Tylko "Gryf Pomorski" miałku-  
piąć w swych szeregach od dwóch do siedemnaście tysięcy członków. Rozpiętość znaczna, usprawiedliwiona jednak tym, że jedni uwzględniali wszystkich zaprzysiężonych członków "Gryfa", nawet tylko wspierających go, inni zaś ograniczali się do uwzględnienia wyłącznie przebywających w bunkrach i w innym ukryciu. Prof. Madajczyk dysponuje danymi polskimi, które podają od 4500 do 20 000 członków "Gryfa", dane niemieckie zaś wymieniają w 1944 r. tylko 1105 członków, ale w tym aż 483 funkcjonariuszy. Znaczna ilość funkcjonariuszy przekonuje, że liczebność "Gryfa" nie mogła być taka mała, jak ją przedstawiają sami Niemcy. Jeżeli zaś chodzi o całe podziemie pomorskie, to prof. Madajczyk jest skłonny je ocenić na 15-50 000 członków.

Organizacje pomorskiego podziemia dzielimy na typy wojskowego i o charakterze politycznym. Przeważały organizacje wojskowe, których zasadniczym celem była walka z okupantem i które w zasadzie nie zajmowały się politycznym programowaniem swej działalności. Do organizacji o charakterze politycznym zaliczamy / za prof. Madajczykiem / Narodową Organizację

Młodzieżową na Kaszubach, Tajną Organizację Wojskową "Gryf Pomorski", "Miecz i Pług", Stronnictwo Pracy i radykalnych socjalistów w Gdyni. Podział taki opiera się "... na dominacji zadań wojskowych bądź politycznych, uwzględnia strukturę wewnętrzną, funkcję ideologii ...". Z tego podziału wyłącza się desanty polskie i radzieckie z lat 1943-1944. Prof. Madajczyk polemizuje tutaj z tezą Leszka Sławomirskiego, który twierdzi, że celem desantów było aktywizowanie ruchu oporu, nawiązanie z nim kontaktu, wywiad oraz przygotowanie gruntu dla władzy ludowej. "Hierarchia zadań - pisze prof. Madajczyk - była chyba inna: wywiad, kontakty z ruchem oporu. Grupy nastawione na wywiad nie powinny się przecież ujawniać, angażować w walkę, jeżeli nie jest to nieuniknioną koniecznością. Stąd trudno łączyć to zadanie z aktywizacją ruchu oporu". Słusznie, gdyż w niektórych kołach badaczy ruchu oporu i publicystycznych lansowano tezę, że desanty wojskowe były w pewnym sensie partyzantką i nawet odegrały znaczniejszą rolę w walce z okupantem, niż rzeczywisty ruch oporu w całości. Potrzeba oddzielania niedobrej propagandy od dociekań naukowych jest - jak wynika z powyższego przekładu - sprawą niezmiernie ważną.

Na Pomorzu bardziej niż w Generalnym Gubernatorstwie i Wielkopolsce rozbudowała się konspiracja wojskowa. Uwidoczniło się to najbardziej w znanych nam typach akcji bojowych - dywersji i sabotażu, starciach w obronie bunkrów, zamachach na funkcjonariuszy niemieckich, szeroko prowadzonym wywiadzie i wreszcie w akcji "B-2", polegającej na sporządzeniu dokładnych planów umocnień wokół Gdyni, rozmieszczenia broni, sztabów itp. Nie można się więc zgodzić z tezą Leszka Sławomirskiego, że hasło stania z bronią u nogi znalazło na Pomorzu potwierdzenie. Powiada on, że tutaj nie prowadzono akcji zaczepnych z powodów

politycznych. To jest oczywiście uproszczenie, wpływające z tendencji do utożsamiania programów politycznych z działalnością organizacji podziemnych i przede wszystkim z tendencji przykładania większej wagi do programów, niż do konkretnego działania. Słusznie więc zauważył prof. Madajczyk, że na Wybrzeżu stosowano takie formy działalności antyokupacyjnej, jakie uważano za najlepsze, najsłuszniejsze i w rezultacie najefektywniejsze. Sytuacja okupacyjna Pomorza dyktowała podziemiu rozbudowywanie oddziałów bunkrowych, a nie manewrowych. Oddziały bunkrowe, nadmiernie rozbudowane, nie sprzyjały działaniom zaczepno-bojowym, co jednak nie oznacza, że takich działań nie prowadzono. Działalność zaczepno-bojowa była jednak tutaj minimalna. Tadeusz Kuta, podobnie zresztą jak Leszek Sławomirski, upatrują brak doświadczeń działań zaczepno-bojowych w niewłaściwych założeniach ideologicznych, wpływających z programów politycznych. W przypadku Polskiej Armii Powstania mamy klasyczny przykład fałszywego pojmowania stosunku tej organizacji do zachodnich aliantów. Organizacja ta była gotowa po - przeciw desant zachodnich aliantów na Pomorzu, ale to przecież nie oznaczało obstawania przy - jak powiada Kuta - zdevaluowanej koncepcji sojuszu Polski z Zachodem. I tutaj argument prof. Madajczyka jest nie do podważenia: "Argument o zdevaluowanym sojuszu jest krytyką chybną. Związek Radziecki zabiegał o jak najszybsze otwarcie drugiego frontu, wszelka pomoc aliantom była pożądana". Poza tym nie mamy żadnych dowodów na to, że chęć udzielenia pomocy siłom zewnętrznym była jednostronna, nakierowana na Zachód. Nawet w programach, w ich partiach deklaratywnych równorzędnie traktowano Związek Radziecki, Anglię, Francję i Stany Zjednoczone. W praktyce udzielano pomocy zbiegłym jeńcom radzieckim, którzy nawet walczyli w szeregach "Gryfa" i desantom wojsk radzieckich oraz Lu -

dowego Wojska Polskiego.

W dotychczasowych badaniach ruchu oporu zbyt skwapliwie i w pierwszej fazie, można powiedzieć, przedwcześnie skupiono uwagę na sprawach ideologicznych i politycznych, nie posiadających dostatecznego rozpoznania działalności organizacji podziemnych. Dzisiaj wiemy już, że chodziło pewnym badaczom, a zwłaszcza publicystom, o umieszczenie pomorskiego podziemia w odpowiedniej szufladce ideowo-politycznej, a ponieważ nie chciało ono w żadnej z nich się zmieścić, więc najpierw próbowano przemilczeć pomorski ruch oporu, potem zaś skompromitować jego ideologię. Jedno i drugie spaliło na panewce. Ruch oporu był faktem dokonanym i tego faktu nie można było wykreślić z karty dziejowej. Przystąpiono zatem do sumiennego rozpoznawania go, tym razem już w warsztatach naukowych, do których mamy zaufanie. Można bowiem zaryzykować tezę, że sam fakt istnienia na Pomorzu ruchu oporu był bardziej istotny, niż istnienie tego ruchu w Generalnej Guberni. Bo Pomorze było obszarem włączonym do Rzeszy i rzekomo odwiecznie niemieckie. Polski ruch oporu, przy tym systematyczny, niepokojąco podważał tę propagandową politykę Niemców. Nie jest więc przypadkiem, że spośród ziem włączonych do Rzeszy, jedynie w przypadku Pomorza sam Himmler interesował się zwalczaniem ruchu oporu.

Osobnym zagadnieniem, wymagającym szerszego omówienia, jest dynamika rozwoju organizacyjnego ruchu oporu. Prof. Madajczyk zakłada, że na Pomorzu istniały trzy ośrodki ruchu oporu: na Wybrzeżu, w Borach Tucholskich i najmniej zbadany - w Łonie Wehrmachtu. Pierwsze dwa ośrodki bądź współdziałają ze sobą, bądź też podporządkowane są jednej komendzie, bądź też - w przypadku niektórych organizacji - działają w izolacji. Rozwój poszczególnych ośrodków był niejednakowy, nierównomierny, zależny m.in. od kadry

organizującej poszczególne organizacje. Musimy pamiętać, że w tzw. akcji bezpośredniej okupanta, wymordowana została kadra kierująca życiem politycznym i administracyjnym na Pomorzu, a więc element najbardziej prężny, przeważnie zdecydowanie wrogi Niemcom /członkowie Polskiego Związku Zachodniego/. Część inteligencji i najbardziej uświadomione jednostki z innych ugrupowań społecznych uszły przed okupantem do Generalnego Gubernatorstwa lub zostały tam przesiedlone, część zaś powołana do wojska nie powróciła na teren okupowany. Resztki inteligencji, które w różny sposób uchowały się, to przede wszystkim nauczyciele, księża i pracownicy administracji lokalnej. Ich umiejętności polityczne nie przerastały możliwości lokalnych, co najwyżej powiatowych, nie posiadali też wykształcenia wojskowego, wystarczającego do prowadzenia walki z wrogiem posiadającym zawodowych dowódców.

Pomorze Gdańskie nie miało tradycji walki zbrojnej, a tym bardziej doświadczeń w tej walce, jakie posiadały inne ziemie uczestniczące aktywnie w wysiłkach zbrojnych XIX i XX wieku. Również lewicowe orientacje polityczne były tutaj ledwie w zalążku, gdyż nie było organizacji, które by te orientacje krzewiły. Pierwiaszek narodowy siłą faktu przeważał w programach nad koncepcjami ideologicznymi. Nie dziwny się zatem, że elementem najbardziej patriotycznym i szczerze zaangażowanym w ruch oporu byli nauczyciele i młodzież. Nauczyciele byli organizatorami i przywódcami wielu i to najważniejszych organizacji konspiracyjnych, młodzież najliczniej zasilala ich szeregi. Wspomnieć tutaj trzeba też o duchowieństwie, tak brutalnie prześladowanym przez okupanta. Wielu księży, którzy uszli szubienicy, zaangażowali się z całym poświęceniem w walkę z okupantem. W żadnym innym regionie Polski zaangażowanie to nie było tak silne, jak na Pomorzu. Dodajmy jednak, że ten udział



kleru w ruchu oporu paraliżował zarazem rozbudzanie się radykalizmu i w przypadku prezesa Rady Naczelnej "Gryfa Pomorskiego", ks. Józefa Wryczy, zaszczerpił członków kierownictwa tej organizacji endeckie poglądy.

Wbrew pozorom i twierdzeniom niektórych publicystów, pomorski ruch oporu nie reprezentował wybujałej dzielnicowości. W dokumentach programowych mówiono wprawdzie o zabezpieczeniu Pomorzanom należnego miejsca w administracji na Pomorzu po wyzwoleniu, u schyłku wojny obsadzano nawet niektóre stanowiska, np. starostów i burmistrzów, ale to żaden dowód mający świadczyć o dzielnicowości. Wtedy nikt nie wiedział, w jaki sposób odbędzie się odbudowywanie administracji, jeśli więc "gryfowcy" swoich najlepszych ludzi przeznaczali na najważniejsze ich zdaniem stanowiska, to tylko z myślą o natychmiastowym uruchomieniu administracji i odbudowie kraju. Ruch oporu na Pomorzu, w porównaniu z innymi regionami kraju, był niewątpliwie autonomiczny, zwłaszcza w pierwszych latach okupacji. Ta autonomia wpływała nie tylko ze specyficznych warunków okupacyjnych, ale i z braku infiltracji tego terenu przez organizacje krajoznawcze, zwłaszcza lewicowe. W drugiej fazie wojny ta infiltracja nastąpiła i już tylko niektóre organizacje broniły swej autonomii. I znowu broniły one autonomii nie z pobudek partykularnych, lecz z tytułu nierozpoznawalności programów infiltrujących organizacji. Na środkowym i północnym Pomorzu nie zaobserwowano natomiast penetracji organizacji czysto lewicowych. Czy to oznacza, że w łonie organizacji konspiracyjnych nie było żadnych tendencji partykularnych, podkreślania specyfiki dzielnicowej w ogóle, a nie tylko okupacyjnej? Takie tendencje były, tylko one nie rzutowały na ogólny program i przede wszystkim na działalność antyokupacyjną. Zbliżył się zatem do

programów organizacji konspiracyjnych.

Najistotniejszy z pewnością jest program największej organizacji konspiracyjnej - "Gryfa Pomorskiego". Trafnie zauważa prof. Madajczyk, że niesłuszne jest idealizowanie tego programu jako postępowego, ani potępienie go, jako wstecznego. Program ten nie był niczym nowym, był powieleniem założeń Stronnictwa Narodowego z tym, że różnił się od tych założeń w kwestii stosunku do Niemców. A to było najważniejsze. W programie "Gryfa" można wyczytać tendencje klerykalne, dzielnicowe, wielkomocarstwowe i kolonialne, nacjonalistyczne i jakie tylko chciecia, ale wszystko to zostało sformułowane wręcz naiwnie, niemal dziecinnie, trudno zatem traktować opisy o "Polaku zdobywcy" poważnie, pierwszoplanowo. Tym bardziej, że wręcz wsteczne założenia programowe wymieszano z założeniami niekiedy radykalnymi, jak powszechność oświaty, ochrony zdrowia itp. Istotna i w praktyce potwierdzona jest ta część programu, która mówi o walce z okupantem i o wywalczeniu Polsce niepodległości. Zresztą, czy na Pomorzu mogło dojść do rozbudzenia radykalizmu? Odpowiada prof. Madajczyk: "Rola, jaką odgrywał tam kler, absolutnie temu nie sprzyjała. Nie głód ziemi dawał się tam we znaki, a całkowite wyłączenie Polaków. Poza tym, skąd działacze "Gryfa" mieli ewentualnie recypować założenia programowe? Gdy w maju 1942 r. ogłoszono deklarację "Gryfa", program Polskich Socjalistów na Pomorze chyba jeszcze nie dotarł. Program PPS - WRN pt. Polska Ludowa, także mógł być jeszcze niezna - ny, a Polska Partia Robotnicza była w stadium kształtowania się i programu swego jeszcze nie ogłosiła". Oto i cała prawda. Dodajmy jeszcze, że pomorscy działacze konspiracyjni nie dysponowali kwalifikacjami, ani czasem, by stworzyć własną, oryginalną ideologię. Zresztą we wszystkich województwach zachodnich

nigdy nie przykładano większej wagi do programów ideowych, dyskutowanych i spisanych zazwyczaj przez małą garstkę przywódców napływowych. Społeczeństwo miało nastawienie praktyczne.

Ma rację prof. Madajczyk, gdy pisze, że "...istotniejsze niż analizowanie starych treści, jest uchwycenie nowych tendencji zrodzonych podczas okupacji, zmian występujących w stanowisku politycznym społeczeństwa polskiego na Pomorzu". Na obszarze Polski - powiada prof. Madajczyk - dwoma torami następowało zbliżenie do stanowiska reprezentowanego przez Polską Partię Robotniczą: poprzez radykalizm i poprzez kwestię narodową. Na Pomorzu to zbliżenie następowało poprzez kwestię narodową. Mimo otrzymania programów wstecznych, członkowie pomorskiej konspiracji reprezentowali stanowisko jednego wroga /Niemcy/ i dwóch przyjaciół /Rosjanie i Anglicy/. Nie jest przypadkiem, że po wyzwoleniu kraju w 1945 r. dawne województwa zachodnie stały się oparciem dla władzy ludowej. Nie było w nich silnie rozbudzonych uprzedzeń antyradzieckich, a doświadczenie wojny i okupacji pozwoliło zbliżyć się do programu PPR. Dlatego na Pomorzu Gdańskim wszyscy konspiratorzy z lat okupacji ujawnili się i włączyli aktywnie w budownictwo socjalistyczne. W warunkach okupacyjnych w społeczeństwie pomorskim dokonała się ewolucja świadomości politycznej.

Nasze rozważania na marginesie niezwykle ciekawej pracy prof. Czesława Madajczyka mogą skłonić, zwłaszcza byłych partyzantów, do odnowienia dyskusji i sporów. Nie o to chodzi, Dyskusje i spory o większym lub mniejszym nasileniu toczą się w tym środowisku chyba od zakończenia wojny. Nie wierzę jednak, by przyniosły one efekty w zakresie prawidłowej oceny całego wysiłku zbrojnego na Pomorzu w latach okupacji hitlerowskiej. Tego dokonać tylko mogą historycy i to historycy o doskonałych warsztatach naukowych. Wszyscy inni

mogą opracowywać co najwyżej drobne przyczynki, dla historyków niewątpliwie ważne, muszą się jednak powstrzymywać od wydawania wyroków absolutnych nawet w sprawach wycinkowych. Bo wokół pomorskiego ruchu oporu narosło zbyt wiele legend, dobrych i złych, więc po co je jeszcze pomnażać? Twórcami owych legend najczęściej są sami uczestnicy ruchu oporu, ale nie ci szeregowi, którzy wypełnili swój obowiązek i teraz spokojnie pracują w swoich zawodach, lecz przywódcy mniejszych i większych organizacji lub oddziałów. Spory kompetencyjne, przypisywanie sobie zasług, koniunkturalne segregowanie organizacji i programów jest zjawiskiem naturalnym, ludzkim, ale to wszystko nie przyspieszy ujawnienia pełnej, obiektywnej prawdy o ludziach, którzy walczyli, krwawili i oddawali życie w śmiertelnym boju z okupantem hitlerowskim. Dlatego śledzić musimy przede wszystkim rezultaty badań naukowych, nawet tych wstępnych badań, które ostatnio ujawnił prof. dr Czesław Madajczyk.

P.S. Zainteresowany w problematyce Czytelnik łatwo znajdzie pełną dokumentację omawianych przeze mnie publikacji i wszystkich innych poświęconych ruchowi oporu na Pomorzu w bibliografiach bieżących historii, w publikacjach książkowych poświęconych tej problematyce i w bibliografiach specjalnych, np. w "Bibliografii walki wyzwolenczej narodu polskiego przeciw hitlerowskiemu okupantowi 1939-1945. Materiały z lat 1945-1960"/ Wojskowy Instytut Historyczny, Warszawa, 1961, cena zł 22/. Natomiast "Zapiski historyczne" z artykułem prof. Madajczyka /tom XXXII, z.4, Toruń, 1967/ można nabyć w administracji Towarzystwa Naukowego w Toruniu, ul. Wysoka 16, w cenie 25 zł.

ZYGMUNT BROCKI

ULICE: WŁADYSŁAWA ABRAHAMA, BUDRYSZA, DANTYSZKI  
I INNYCH

W zeszytce 5 z 1967 r. biuletynu Komisji Topograficznej Czechosłowackiej Akademii Nauk ("Zpravodaj Městopisné komise ČSAV") ukazał się artykułik Ladislava Zgusty z Pragi, zawierający kilkanaście spostrzeżeń z Berlina Wschodniego i miast włoskich.

Otóż autor pisze, że w stolicy NRD na wielu ulicach o nazwach pochodzących od nazw osobowych oprócz tablic z nazwą ulicy umieszczone są, poniżej, mniejsze tabliczki, na których znajdują się informacje o osobach, ku których uczczeniu i upamiętnieniu dane ulice otrzymały nazwy. Na przykład pod tablicą z napisem LITTENSTRASSE jest takie objaśnienie: Hans Litten, geboren am 19.6.1903, antifaschistischer Rechtsanwalt, ermordet am 4.2.1938 im KZ Dachau."

Nie wszystkie ulice o nazwach odnazwiskowych mają takie tabliczki; np. nie ma objaśnienia pod tablicą z napisem MARX-ENGELS-PLATZ itp., a więc nie objaśnia się nazw od nazwisk powszechnie znanych postaci. Wprawdzie objaśnienie jest przy LUXEBURG-PLATZ: Rosa Luxemburg, geb. 5 März 1871... itd, ale dlatego, aby wskazać, że podstawą nazwy tego placu nie jest nazwa księżstwa Luksemburga. (W Lipsku jest nazwa jednoznaczna: ROSA-LUXEBURG-STRASSE.)

Podobne informacje są na ulicach włoskich. W Mediolanie np. przy VIA ALDO MANUZIO podano: Tipografo, 1447-1516. Są tu jednak niekonsekwencje. Na przykład nazwisko pisarza Amicisa jest dostatecznie znane, mimo to tablica przy VIA EDMONDO DE AMICIS informuje: Scrittore, 1846-1908. Ale komu poświęcona jest ulica o nazwie VIA GIUSEPPE POZZONE? Informacji tutaj nie podano.

Dalej autor artykułu w "ZMK" pisze o tablicach ulicznych w Neapolu i Rzymie. Na przykład przy PIAZZA TRILUSSA w Rzymie jest objaśnienie: Pseudonimo di Carlo Alberto Salustri, poeta (1871-1950).

Tyle jeśli idzie o streszczenie spostrzeżeń prazanina. Nic podobnego nie znalazłby on np. w takim centrum turystyki, jak Gdańsk-Sopot-Gdynia. Jak w każdym mieście i tutaj są dziesiątki nazw ulic od nazwisk ludzi: Maszyka, Batorego, Chopina, Kopernika, Kościuszki, Mozarta, Sobieskiego, Wita Stosza<sup>X</sup> itd. itd. Czy na ulicach o nazwach upamiętniających postaci Kopernika, Zygmunta Augusta, Chopina itp. potrzebne są tabliczki informujące o tych postaciach? Sądzę, że nie są potrzebne. Ale już inaczej się rzecz ma np. w wypadku gdańskiej ul. Gomółki. Idę o zakład, że 95 na 100 mieszkańców miasta nie wie, kogo ulica ta upamiętnia.

Idę też o zakład, że wielki procent mieszkańców Gdańska nie zna nie tylko takich dalekich Gdańskowi postaci jak Mikołaj Gomółka, ale nie zna również upamiętnionych nazwami ulic tego miasta postaci, które są związane z Pomorzem i Gdańskiem, i to nawet bardzo ściśle związane.

Że stan znajomości pewnych postaci pomorskich, czy bliżej: kaszubskich i gdańskich, nie jest np. w Gdańsku zadawalający, może świadczyć częste przekręcanie odnazwiskowych nazw ulic. No bo skoro się nie wie, kim był np. Wilhelm Strykowski, łatwo nazwę ulicy <sup>przekręcić</sup> jemu poświęconej na UL. STRYJEWSKIEGO, z -e- w drugie zgłosce, jak to widzimy np. na tabliczkach w wozach tramwajowych, na różnych planach miasta, a słyszymy w mowie mieszkańców. Słyszymy i czytamy w różnych miejscach o ul. Falk Polonusa, lub ul. Falk-Polonusa, niekiedy nawet ul. Polonusa (!?!), zamiast o UL. FALKA-POLONUSA. Nazwisko Seredynskiego tkwiące w nazwie jednej z ulic Dolnego Miasta przekręca się ,

przy wymienianiu nazwy tej ulicy, na Seredińskiego, z -i- w trzeciej zgłosce. W Gdyni zaś zupełnie oficjalnie jest UL. DANTYSZKI. Można zapytać: kto to był Dantyszko? Jakiś Ukraińiec? I co on robi w podgdańskiej Gdyni? Niedobrze jest też w Sopocie: pseudonim Jana Karnowskiego tkwiący w nazwie jednej z tamtej - szych ulic przekraczany jest, na tabliczkach, na planach miasta itd. , na Budrys (jeden z Mickiewiczowych "Trzech Budrysów"?!), Budrysz (UL. WOSA BUDRY-SZA)!

A gdański komunalny resort zajmujący się zawieszaniem tablic z nazwami ulic nie chce przyjąć do wiadomości, że ulica biegnąca granicą Oliwy i Wrzeszcza poświęcona jest wielkiemu synowi Kaszub, Antoniemu Abrahamowi. Choć to już niejednokrotnie w prasie wskazywano, resort ten z uporem nadal umieszcza tablice z napisem: UL. WŁADYSŁAWA ABRAHAMA. (Owszem, historyk W. Abraham jest zasłużonym uczonym, ale nie specjalnie go z Gdańskiem nie łączy.)

Tak więc odpowiednie czynniki urzędowe, wespół ze społecznymi (czy odwrotnie: społeczne wspólnie z władzami miejskimi), powinny się zatroszczyć o umieszczenie krótkich informacji biograficznych pod "oficjalnymi" tablicami z nazwami ulic, których nazwy upamiętniają np. Augustyńskiego, Bogusławskiego, Ceynowę, Chodowieckiego, Roberta de Pléto, Derdowskiego, Dickmana, Dębinę, Dziewanowskiego, Fiszera, Giełguda, Komorowskiego, Kubacza, Leczkowa, Lengnicha, Lendziona, Liczmańskiego, Majkowskiego, Miszewskiego, Parysa, Pniewskiego, Ramułka, Rogaczewskiego, Solikowskiego, Subiszawa, Uphagena itd. - biorę przykład tylko z nazewnictwa ulic Gdańska, przy tym jest to tylko niewielka garść przykładów.

Gdyby pomysł umieszczenia pod tablicami ulicznymi "tabliczek biograficznych" miał przybrać realne kształty, może powstać kwestia, co pisać w wypadku ta -

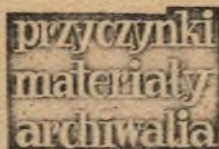
kich nazw ulic, jak ul. Bażyńskiego, ul. Strakowskiego, ul. Wejhera. Rzeczywiście bowiem nie jeden Bażyński, Strakowski czy Wejher zasłużył się Pomorzacy Gdańskowi. Otóż singularna forma nazwy osobowej w nazwie ulicy, np. UL. BAŻYŃSKIEGO (a nie ul. Bażyńskich, według typu nazwy ulicy w Gdyni-Orłowie : UL. PRZEBENDOWSKICH), jest tu tylko symbolem i dlatego sądzę, że na "tabliczkach biograficznych" należałoby w takich wypadkach dawać informacje o całych rodzinach. Wcale przy tym nie potrzeba zmieniać formy nazwiska tkwiącej w nazwie ulicy na formę pluralną.

Podobnie na tabliczkach przy ul. Sambora należałoby informować, że Sambor to imię kilku książąt Pomorza Gdańskiego.

Cytowałem na początku napisy na "tabliczkach biograficznych" z miast niemieckich i włoskich bez tłumaczenia na język polski, sądzę bowiem, że nawet ktoś nie znający języka niemieckiego czy włoskiego, treść owych tabliczek zrozumie. Choć język polski nie jest językiem "międzynarodowym", jak niemiecki czy włoski, to jednak - wydaje mi się - napisy na niektórych "tabliczkach biograficznych", mianowicie takie, które zawierać będą wyrazy: "generał", "poeta", "pseudonim poety kaszubskiego", "Stutthof" (np. w wypadku Pnińskiego) plus data - będą zrozumiałe także dla nieznających języka polskiego obcych turystów.

Postulowane tabliczki przyniosą korzyść przede wszystkim mieszkańcom danych miast pomorskich i turystom z głębi Polski, ale niektóre z nich, odpowiednio sformułowane, mogą w pewnym stopniu dawać informacje również cudzoziemcom, informacje będące ostatecznie informacjami z zakresu historii naszej nadmorskiej krainy i naszych nadmorskich miast.

<sup>x</sup> Już dawno wskazywano, że nazwisko twórcy m.in. sławnego ołtarza w krakowskim kościele Mariackim brzmiało: Stosz a nie: Stwosz. Przed kilku laty ostatecznie potwierdziły to badania prof. S. Rosponda. Nazwa ulicy w Oliwie powinna więc mieć postać: UL. WITA STOSZA.



DAMROKA MAJKOWSKA

### MÓJ OJCIEC

Ze wspomnień o Aleksandrze Majkowskim

Czas, nieprzyjaciel ludzkiej pamięci, zatarł już dzisiaj wiele spraw i z trudem chodzę po ścieżkach wspomnień o moim ojcu. Kreśląc jego sylwetkę w klimacie życia rodzinnego, sięgam do pamięci matki i swojej. Nie oddam z pewnością atmosfery domu, którą on stwarzał i której nadawał swoje piętno, bo sprawy publiczne z prywatnymi tu się krzyżowały i były nieodłącznym tematem myśli i rozmów mieszkańców Eremu.

Kartuzy, ciche małe miasteczko położone niedaleko Gdańska, stolicy Kaszub, stały się w 1921 roku przy - staną mego ojca. Tutaj w październikowy wieczór tegoż roku przybył po ślubie z Warszawy ze swoją młodą żoną.

Czyżby to była ucieczka zmęczonego i rozczarowanego człowieka? Pomorze otwierało wówczas z trudem nową kartę swej historii. W rok 1921 wkraczało z ustalonymi granicami, wkraczało w rzeczywistość bolesną. Nie wszystkich braci pod swym berłem mogła Rzeczypospolita zebrać. Gdańsk - naturalna stolica Kaszub, złożył - wy twór traktatu pokojowego, obcym strażnikiem w ob - cym mundurze witał Kaszubę u swych bram. Przygotowy - wane powstanie, stłumione przed wybuchem, stłumione przez swoich, tym boleśniej - sze, leżało ciężkim cię - niem na tej ziemi. Nie chcę tym zdaniem sugerować, że

walka zbrojna była wówczas celowa i przyniosła by nam jakieś osiągnięcia. Oddają tylko atmosferę środowiska mego ojca.

W drugim roku niepodległości nie myślały Kartuzy, że staną się głuchą prowincją pomorską. Wprawdzie daleko było do Torunia, już wówczas siedziby wojewódzkiej, ale światłe jednostki Pomorza rzuciły hasło: "Nie wychodzić z Gdańska". Podjęła tę odezwę polska prasa w Gdańsku. Zabiera nawet głos zawsze lojalny i ugodowy ks. Paweł Czaplewski. Proponowano, by instytucje polskie o charakterze niepolitycznym pozostawić w Gdańsku. Kamil Kantak o uniwersytecie polskim w Gdańsku snuje marzenia, o muzeum kaszubskim w Zbrojowni. Natomiast instytucje o charakterze politycznym proponowano przenieść na zaplecze Gdańska do małych miasteczek. Były też poważne projekty, by Tczew uczynić siedzibą władz wojewódzkich. Sprawa znalazła się nawet w sejmie.

Toczyły się jeszcze dyskusje, gdy moi rodzice osiedli w Kartuzach. Na peryferiach miasta, w willi położonej uroczo na skarpie przy ul. 5 Brygady, zapłonęły na ich powitanie światła we wszystkich oknach. Będzie tak przez 16 lat straszył ten dom uspiione w nocy miasto oświetlonymi wielkimi oknami, bo pan domu lubi światło. Z latami drzewa osłonią liczne okna, stanowiąc za liczne, stanowiąc nie dostosowane do klimatu. Widać, że poprzedni właściciel sędzia Rettich też kochał światło.

W tych pierwszych latach powojennych jeszcze drzewa nie osłaniają, nie strzegą mieszkańców willi przed ciekawym okiem obcych. Bo i nie ma przed kim. Pusta tu droga w kierunku jeziora i słabo zabudowanej ulicy Sambora. W tym domu, własności Pelagii Komorowskiej, matki mojej matki, znalazł mój ojciec po sześciu latach tułaczego życia wreszcie swój dom. Nazwał go Eremem. Ale nazwa ta pozostała tylko na nadrukach recept lekarskich i kopert, nigdy nie rozgościła się

tych murach. Próżno tu było szukać atmosfery eremu. W willi przy ul. 5 Brygady żyje się mocno. Nie pozostaają za drzwiami troski i kłopoty młodej dzielnicy kaszubskiej. Wchodzący tu ludzie nie wnoszą spokoju. Wszystko co tę ziemię boli, co kalectwo ludzi, wchodzi tu, by żyć później długo w tych murach. Równocześnie otwiera mój ojciec praktykę lekarską. Przejściowo kieruje szpitalem powiatowym, później przybierając obowiązki lekarza powiatowego, Ubezpieczalni Społecznej i Kolei.

W pierwszych latach praktyka lekarska nie absorbuje za bardzo. Jest jeszcze nieznanym lekarzem. Dojeżdża wówczas do Kościerzyny, do Grudziądza - załatwia sprawy wegetującej już wówczas Rady Pomorskiej, wznawia Gryfa i pisze Remusa.

Często, gdy w mieście pogasną ostatnie światła, zasiada do twórczej pracy. Najlepiej mu się w nocy pracuje. Lubi, gdy siada wówczas przy nim żona. Łatwiej mu pisać.

W tych latach pracownia ojca mieściła się na poddaszu. Z mansardowego pokoju jest piękny widok na jezioro klasztorne, na las. Czuje się tutaj bliżej wsi kaszubskiej. Tu pisze Remusa. Tutaj też wspólnie z żoną robi korekty Gryfa. Dziwnie przebiega miesiąc miodowy tego małżeństwa, co wywołuje zdziwienie a nie raz i słośliwe docinki rodziny. Im jednak jest tak dobrze. Był wprawdzie w planie wyjazd sześciotygodniowy, ale pozostał w sferze nieziszczonych marzeń. Były sprawy ważniejsze, wobec których ich osobiste plany musiały pozostać w cieniu. Ten cień kaszubszczyzny zaciążył na całym ich życiu, zajmie honorowe miejsce w ich domu. A im bliżej drugiej wojny światowej, tym więcej było tych trosk i powodów do goryczy, ale zarazem do ostatniej chwili było też dużo nadziei na lepsze jutro. Taki był mój ojciec. Do ostatnich godzin swego życia patrzył przez różowe szkła i snuł plany jasne i wielkie.



Ale w tych pierwszych latach zakryte były karty przyszłości. Mógł wreszcie w zorganizowanym już domu, w którym część trosk dnia codziennego przejęła żona, oddać się literaturze. Bo dla mnie, gdy patrzę na jego życie z perspektywy lat, wielkość jego leżała w literaturze. Służąc dwóm panom: medycynie i literaturze, nie zawsze mógł i miał prawo sprawiedliwie dzielić swój czas. Pierwsze lata powojenne absorbują i w innych dziedzinach. Nie codziennie można sięgać po pióro. Pracownia na poddaszu izoluje od życia, stwarza pozory spokoju. Tu ma się wrażenie, że nikt nie przeszkodzi. Z czasem dzwonki nocne, wezwania do chorych, zaczęły burzyć zasłonę spokoju. Nie przypominam sobie pracowni ojca w tym mansardowym pokoju. Po kilku latach ze względów praktycznych przeniósł pracownię na pierwsze piętro. Był to jeden z największych pokoi z widokiem już niestety na ulicę i miasto. Dziwny czar miał zawsze dla mnie ten pokój. Wszystkie ściany były szczelnie osłonięte półkami z książkami. Z czasem trzeba było nawet jedno okno zasłonić regałem. Nie zaciemniło to jednak pracowni, gdyż było tu dużo okien. Na wolnych skrawkach ścian wisiały obrazy jak: symboliczna Rut z Ewangeli, portret Ceynowy, akwarele z widokami okolic Wdzydz Teodory Gulgońskiej, czepce kaszubskie, dzieła sztuki ludowej malowane na szkło. Sztuka ludowa w różnych swych formach królowała w całym naszym domu. I bidermayer i Ludwik XIV salonów musiał ją tolerować.

Wzdłuż pokoju na grubym dywanie tłumiącym kroki stał podłużny stół obity zielonym suknem. Przy nim ojciec pracował. Fragment wolnej ściany zajmowało bidermayerowskie biurko, pod jednym z okien fotel w tym stylu. Nad biurkiem wisiała rzeźbiona w drzewie głowa Chrystusa - artysty bawarskiego, przywieziona ze studiów z Monachium. Obok biurka wisiała broń, którą ojciec otaczał wielką troskliwością, z wielkim pietyzmem co pewien czas czyścił i zawsze nią witał

Nowy Rok. W biurku spoczywał rewolwer, wierny towarzysz wyjazdów do pacjentów do nadgranicznych wsi. Sufit zdobił szczególnie ceniony przez ojca żyrandol z pałacu opackiego w Oliwie. Był jednak ten pokój przede wszystkim królestwem książki. Bibliofilskie zamiłowania ojca gromadziły regały. Kochał piękne oprawy. Wszystkie miłe sercu książki oprawiał w batik. Przez pewien okres <sup>prze</sup>pracowania spełniała rolę gabinetu lekarskiego. W ostatnich latach gabinet lekarski przeniesiono na parter.

Późno w nocy kończył się dzień pracy mego ojca, a z latami, gdy zdobył zaufanie wśród ludzi i krótkie chwile nocy były przerywane wezwaniami do chorych, przeważnie na wieś. Nie zawsze można tam było dojechać samochodem. Często trzeba było tłuc się wozem konnym. Nie było wówczas ośrodków zdrowia i pogotowia, które chociażby częściowo chroniły prywatny czas lekarzy.

Dzień pracy ojca rozpoczynał się około ósmej, dziewiętej. Jeszcze przed rozpoczęciem przyjęcia pacjentów, już w białym fartuchu lekarskim narzuconym latem na białe ubranie o kroju wojskowym, wychodził do ogrodu przyjrzeć się swym ukochanym różom. Cały ogród w zasadzie nosił ślady jego pracy. Sam sadił drzewa, pielęgnował kwiaty, jego dziełem była urocza jaśminowa altana u wejścia witająca pnącymi różami, gdzie latem jadało się podwieczorek, siadało w ciepłe, letnie wieczory. Prawie cały ogród miał charakter parku. Skromne tylko miejsce zajmowały zagonki z jarzynami pielęgnowane pieczęłowicie przez starego ogrodnika Grabowskiego. W tym rannym spacerze towarzyszyły zawsze ojcu ulubione psy, a przybiegały na powitanie kurczęta i perliczki, które ku zgrozie służyły karmił mielonym mięsem i tak oswajał, że nieraz wskakiwały przez okno do kuchni i robiły tam spustoszenie. Służba <sup>sz</sup>kszuńska ciężko oswajała się z nawykami pana domu.

Później wracał do swego gabinetu by przyjąć chorych. Na stole czekały papierosy zrobione przez matkę / bo palił tylko ustnikowe/ i czarna kawa. Kawę wogóle cały dzień się parzyło, a bardzo często pod nadzorem ojca. Pił ją od rana do późnej nocy. Tak samo nigdy nie rozstawał się z papierosem. Przyjmowanie chorych teoretycznie trwało do pierwszej popołudnia, w praktyce różnie bywało. Po podwieczorku zwykle, o ile nie było nagłych wypadków, wyjeżdżał ojciec na wizyty domowe do chorych. Zawsze towarzyszyła mu żona i na zmianę jedno ze starszych dzieci. A było nas czworo i wszyscy nosiliśmy imiona kaszubskie wyjęte z historii księstwa pomorskiego z wyjątkiem Barbary, która weszła do naszego domu jako patronka rybaków. Te wyjazdy pozwoliły mi w dzieciństwie poznać wzdłuż i wszerz wieś powiatu kartuskiego. Z czasem, gdy obowiązki lekarza Ubezpieczalni Społecznej, powiatowego i kolei obarczyły pracą administracyjną pochłaniającą dużo czasu, zatrudnił ojciec sekretarza. Było ich kolejno kilku. Ostatni z nich - Feliks Marszałkowski - szczególnie był przez ojca ceniony i był mu miły i stał się w pewnym sensie członkiem naszej rodziny. On też później w chwili wybuchu wojny przewiózł w bezpieczne miejsce bibliotekę ojca, a matka jego z pełnym poświęceniem uratowała ją w 1945r. Jej troskliwości zawdzięczaam zachowanie rękopisów ojca.

Wyjazdy w teren pozwalały ojcu na zbieranie sztuki ludowej często już w wiejskich domach niecenionej. Dzielnie mu w tym zbieraniu towarzyszyła żona. Pozwalały one też na stały kontakt z żywą mową ludu kaszubskiego i jego kulturą. Przedmioty przywożone ze wsi później zdobiły nasze mieszkanie. Zabierał też ze sobą często aparat fotograficzny. Z wielką pasją fotografował stare budowle wiejskie. Jeszcze przed I wojną światową sfotografował wszystkie zabytki kultury wiejskiej ziemi kaszubskiej. Z tej dokumentacji

skorzystał po II wojnie jeden z etnografów Wybrzeża.

Wyjazdy na wieś były dla nas dzieci zawsze wielką atrakcją. Ojciec był wspaniałym gawędziarzem. Opowiadał po drodze legendy czy fakty historyczne związane z miejscowościami, przez które jechaliśmy. Bardzo wczesnie poznaliśmy historię naszej ziemi. Jeśli droga wypadała przez Chmielno, wstępowało się zawsze do Necla, do jego warsztatu i zawsze się stamtąd przywoziło jakiś przedmiot gliniany. Raz była to miska gliniana do ziemniaków, która później, ku rozpaczy kucharki, królowała na naszym stole wśród porcelany. Ale ponoć ziemniaki najlepiej smakują w glinianym naczyniu i na to nie było rady. Gdy droga wypadała w pobliżu Węsior, podjeżdżało się do Czystych Pól. To było jedno z ulubionych miejsc ojca. Często jeżdżono tam też i w niedzielę. W te okolice wyjeżdżało się też na grzyby, co było jedną z pasji ojca. Zdarzało się, że po drodze do chorego zauważył przez szybę samochodu grzyby. Trzeba było stanąć i szło się w las. Matka wówczas nielada musiała użyć fortelu by ojca wyciągnąć z lasu, bo przecież chory czekał. Później naturalnie samochód pędził z niedozwoloną szybkością, na złych drogach kaszubskich bardzo niebezpieczną. Musiała się matka w ciągu 16 lat wspólnego pożycia przyzwyczaić do tego, że najpierw było dużo spokoju i dużo czasu a później pośpiech i nerwy. Często, gdy już przed domem czekał samochód na pilny wyjazd do chorego, ojciec prawie już ubrany do wyjścia kończył jakiś pilny artykuł. Dziwne, ale najlepiej się wówczas skupiał i wszystko szło gładko. To była już niestety cecha charakteru i na to nie było lekarstwa. Opowiadał mi kiedyś ks. Paweł Czaplewski, że z wielkim podziwem patrzył, w jaki sposób mój ojciec redagował Dziennik Gdański. W obecności gońca z drukarni na oknie szpitala potrafił wykańczać artykuł. Gdy minął krytyczny moment terminowych prac, znowu wracał spo -

kój i znikał pośpiech i na wszystko był czas.

W popołudnia wolne od obowiązków lekarskich wychodziliśmy na spacery za miasto, względnie wyjeżdżaliśmy na grzyby, zależnie od pory roku.

W niedzielę często jeździliśmy do Wdzydz, do królestwa pani Gulgowskiej. To było miejsce szczególnie przez ojca lubiane. Tu spędzał czasami też i swoje urlopy. Na niedzielne wycieczki wybieraliśmy się zwykle w godzinach rannych, a wracaliśmy późnym wieczorem z postojem w Kościerzynie w małej cukierni żydowskiej, gdzie zawsze była dobra kawa. Zagadnienia rasowe nie były problemem w domu moich rodziców. Ojciec zawsze był wrogiem wszelkich prześladowań. Droga z Kościerzyny do Wdzydz była wówczas ciężką przeprawą. Przez długi odcinek piaszczystej drogi z trudem przebijał się samochód. Z radością witała nas pani Gulgowska zawsze w białej sukience i zawsze młoda mimo postępującego wieku i zawsze w nieodłącznym towarzystwie niezliczonej sfory kotów. Koty, obok pięknych haftów kaszubskich, zajmowały honorowe miejsce w jej domu. Na spacerach po lesistych wzgórzach przewodziła. Wzbudzała <sup>ty</sup> nasz podziw. "Te lasy chronią młodość" - mawiała ze śmiechem. Obowiązkowo wówczas wyjeżdżało się czółnem rybackim na jeziora wdzydzkie. Raz zabłądził ojciec na tych wodach i całą noc tam spędził wraz z dr. Fethke. Po wrót do Kartuz bywał owiany smutkiem. Czarowna bajka się skończyła. Były to zresztą nieliczne chwile gdy ojciec dla nas miał czas. W domu różnie bywało. Sprawy kaszubskie, obowiązki lekarskie ograniczały czas ojca.

Czasami jeździliśmy do Żukowa. Kościół - muzeum przyciągał ojca. Często mawiał, że tu chciałby spocząć po śmierci, tu kołysałaby go mowa ludu kaszubskiego. Zapomniano niestety o tym.

Wyjeżdżaliśmy też do Gdyni i Gdańska. Te wyjazdy były zwykle związane z konferencjami, spotkaniami

lekarzy względnie sprawami kaszubskimi. Rzadko natomiast rodzice wyjeżdżali dla przyjemności do Gdańska, do opery czy lokalu. Na rozrywki nie umieli znaleźć czasu. Rzadko również bywali w lokalach kartuskich, co - przypuszczam - nie było dobrze komentowane w mieście. Myślę, że nie nawiązał ojciec serdecznego stosunku z miastem, z ludźmi, którzy decydowali o atmosferze miasta. Był ich lekarzem, towarzyszył im w radosnych chwilach narodzin ich dzieci, towarzyszył i w tych smutnych odejściach najbliższych. Nieliczna inteligencja miejscowa przestawała w naszym domu i - rzecz znamienne - nie byli to Kaszubi, ani nawet Remorzanie. Także narodowościowo byli zróżnicowani. Obok żyda lekarza aptekarz Niemiec-Bawarczyk / miał ojciec dużo sentymentu do Bawarii, bo gdy wszystkie uniwersytety niemieckie po relegowaniu go z Gryfii odmówiły mu prawa wstępu na uczelnie, Monachium go przyjęło/, z inteligencji polskiej adwokat Krygowski; zawsze serdeczny stosunek był utrzymywany z naczelnikiem kolei. Bywali też u nas kolejni starostowie powiatowi. Początkowo przestawał też osławiony starosta Czarnowski, później stosunki oziębiły się, ale zawsze zachowały się w ramach chłodnej grzeczności. Były to jednak spotkania towarzyskie, wypoczynkowe. W tym gronie raczej nie poruszało się spraw kaszubskich, które były atmosferą domu.

Do końca życia utrzymywał ojciec kontakt serdeczny z współpracownikami z czasów redakcji Gryfa: Janem Karnowskim, Leonem Heykem, trwał serdeczny kontakt z Gdańskiem. Tylewscy, Szucowie, Pniewski, Kręcki z siostrami byli częstymi gośćmi. Śpiew pani Niny Tylewskiej przyjemnym echem rozbrzmiewał w murach naszego domu. Utrzymywał też kontakt - sięgający czasów zaboru - z Warszawą. Miłym gościem był też raz prof. Frinta z Pragi. Z Gdyni przyjeżdżali Szczeblewscy. Z ich pobytu pozostał portret matki, jakkolwiek

i ojca wówczas portretował. Częstymi gośćmi w ostatnich latach życia byli Zrzeszeni. Darzył ich dużym sentymentem. I chociaż nie zawsze aprobował posunięcia ich młodych, gorących głów, byli mu bardzo bliscy. Raz mnie zaprowadził do ich drukarni. Mały, ciemny pokój, gdzie na prymitywnej ręcznej maszynie matka Feliksa Marszałkowskiego odbijała numery pisma, dziwne na mnie wywarł wrażenie. A nie była to moja pierwsza wizyta w drukarni. Bywałam już poprzednio w drukarni Bielińskiego w Kartuzach. Z wczesnych lat swego dzieciństwa przypominam sobie dra Fryderyka Lorentza. Później ich drogi się rozeszły. Żał miał do niego ojciec, że nie pozostał wierny idei młodości. Również utrzymywał ojciec kontakt z Toruniem. Bywali u nas dr Łukowicz, Jonas, radca wojewódzki Kreft i młody wówczas mgr Andrzej Bukowski, zbierający dokumenty kultury kaszubskiej. Sporo też ludzi przyjeżdżało z Gdyni, jak: Młyński, Radtke. Bywali też przedstawiciele ówczesnych pomorskich korporacji akademickich jak Aleksander Arendt i inni. W ogóle latem młodzież akademicka przerywała ciszę miasta. Zawsze urządziła w feriach letnich komers. Na jednym takim komersie byłam z rodzicami. Było to dla mnie silne przeżycie, nie mniejsze dla ojca, który z radością patrzył na pracę młodej generacji kaszubskiej.

To naturalnie rzutowało na spokój naszego domu. Rzadko byliśmy sami w rodzinnym gronie. Rzadkie były chwile gdy ojciec należał do nas, do jego dzieci. A gdy taki wieczór się zdarzył, opowiadał nam bajki kaszubskie, legendy, względnie urządził z nami harce po dużych pokojach. Umiął się wspaniale bawić z dziećmi. Zwykle zdarzało to się w sobotę. Zrzucał wtenczas z ulgą fartuch lekarski i wyciągając ręce wołał: "Hej dzieci, dzieci, dzisiaj sobota skończyła się nasza robota". A gdy wkrótce potem zabrzmiał dzwonek u drzwi frontowych, wymawiał impulsywnie: "lekarz to jednak pies na łańcuchu" - i za chwilę ze swą brązową torbą

lecarską wsiadał do samochodu. Nie lubił jeździć sam, więc matka musiała rzucać wszystkie swoje zajęcia i mu towarzyszyć.

Czas zatrzymywał się w święta. Ojciec był bardzo przywiązany do tradycji. Boże Narodzenie i Wielkanoc były z wielkim pietyzmem w domu przygotowywane. Choinkę sam ojciec stroił, a w każdym razie obowiązkowo zawieszał pierwszą kulę i sam zapalał świece na choince. Musiały być kolorowe i ozdoby musiały też być kolorowe, bo taki zwyczaj słowiański. Później przez dłużej dni po kilka paczek świeczek dziennie spalało się. Oszczędność nie była zasadą tego domu. Pod choinką stała zawsze szopka. Żniwo też zbierali u nas kolednicy. Każdy był przez ojca witany z radością i sownie wynagradzany. "Trzeba podtrzymywać tradycję kaszubską" - mawiał i z lekkim sercem dawał chłopcom 5 złotych, co wówczas było poważną sumą. Ale też muszę przyznać, że ci chłopcy, którzy do naszych drzwi przychodzili, dużo pracy wkładali tak w budowę szopki jak i swych strojów. To był ciekawy pokaz szopek kaszubskich.

Wilia była świętem rodzinnym w pełnym tego słowa znaczeniu. Byliśmy wówczas sami, tylko w rodzinnym gronie. Do wieczerzy wigilijnej w latach, które pamiętam zasiadało przeciętnie 10 do 12 osób. Było nas czworo dzieci, mieszkali z nami matki rodziców, często bywały siostry ojca Franciszka i Helena. Przy wieczerzy ojciec, jakby chcąc się oderwać od rzeczywistości, sięgał do wspomnień. Smuła więc dzieje swych wojennych przygód, które kiedyś spisał w dzienniku wojennym. Ten dziennik pisany po polsku w mundurze niemieckiego oficera w twierdzy w Chełmnie w 1914 roku stał się wówczas powodem przykrych kłopotów. Oskarżono wówczas ojca o szpiegostwo. Przejściowo go potem pisał po niemiecku, by później znowu wrócić, wbrew zakazom, do języka polskiego. Potrzeba pisania była silniejsza od zakazów. Czasami, w te wieczory, wracał też myślami do lat młodości, do rodzinnego domu - wtenczas i Remus

stawiał się żywy.

Po wieczery matka zasiadała do fortepianu, ojciec brał do ręki gitarę. Te koncerty rodziców miały i miejsce w inne dni gdy byliśmy sami. Z czasem radio bardzo wyparło ku żalowi ojca grę matki, a gitara również powoli milkła. Był bardzo przywiązany do swej gitary. Przeszła z nim całą wojnę. Zdobiła ją szeroka szarfa ofiarowana przez matkę w okresie narzeczeństwa. Wszystkim radościom rodzinnym towarzyszyła muzyka gitary. Gdy pierwsze dziecko przyszło na świat, położył je na książkach w swej pracowni, ku zgrozie matki, i grał na gitarze.

Równie uroczysto obchodzono święta Wielkiejnocy. Także wielkim świętem rodzinnym były imieniny rodziców. Tak się złożyło, że obchodzili imieniny tego samego dnia. Wówczas ich krzesła w jadalni były ubrane zielenią i szarfami. Dom był wówczas pełen gości. Z tej okazji raz szwagier matki Hubert Brzozowski napisał wierszyk /chyba około 1926 roku/.

Dzień dziś wielki, dzień dostoyny,  
Fotel w szarfy, w zielen strojny,  
Cyfrę nosi Aleksandra,  
Precz więc z domu tego handra,  
Precz lamenty,  
Dziś godowe traktamenty.

Aleksandra, Aleksander,  
Wawrzyn, miód i oleander,  
Skronie Wasze dzisiaj wienczy,  
Obyś nigdy nie był cieńszy,  
Obyś utył od pieniędzy.  
Niech Ci Bozia zsyła draba,  
Prywatnego z worem złota,  
Inna z domu won hołota.  
Niechaj piękne sanatoria,  
Głośne w Polsce wzniosą gloria,  
Na cześć Twoją mój doktorze,

Jak najrychlej spraw to Boże.

Oby syn Twój Mestwin dzielny,

Gród kastubski wzniósł wśród kręgów,

Na zamczysku pan udzielny,

Pludrom nie żałował cięgów.

A Damroka pośród ludu,

Niechaj też dokona cudu,

By biedaków tych z Galicji,

Nie więzili na policji.

Gdańsk do Polski, Prusy Wschodnie,

Bo to dla nas tak wygodnie,

Wszystko przyjdzie miteinnander,

Skoro zechce Aleksander.

Zasię w ogródku, gdzie licha murawa,

Odtąd na krzakach rosła wonna kawa,

Tam gdzie kwaśne śliwki niech urosną bemy,

A zamiast płotu staną same gold salemy,

Obyś gotowe miał wszystko pod ręką,

I żadna by Cię troska nie gniotła udręką.

Grubas niechaj strzeże domu Twego progu,

By Cię w noc nikt nie śmiał budzić do poło-  
gu,

Chyba żeby Precel sam z Warszawy dzwonił,

Wtenczas byś już z nocki godzinę uronił.

A teraz w spełnieniu tej życzeń litanii,

Przyjmij pozdrowienia od Dutka i Hani.

Ode mnie zaś na koniec przychodzi myśl taka,

Aby szlaczek trafił Kamila Kantaka,

Niechaj wszystkie ryczałtem kipną Twoje wrogi,

Skręciwszy naprzód karki i złamawszy nogi.

Myślę, że ten wierszyk trochę oddaje klimat naszego domu. Dom nasz, jakkolwiek bardzo pomorski, chyba jednak bardzo odbiegał od przeciętnego domu pomorskiego. Nadawał bezwzględnie temu ton ojciec. Tu się nie oszczędzało, nie myślało o zdobyciu majątku zapewniającym

spokojną starość. Myśl o śmierci i o starości była do ostatniej chwili bardzo daleka ojcu. Nie przypominam sobie żadnego tzw. praktycznego prezentu od ojca. Był to artysta. Niemniej potrzebne mu było życie rodzinne. Ile razy musiał na dłuższy okres wyjechać, zawsze z radością wracał do domu.

Językiem naszego domu był język polski, tak jak wszędy we wszystkich domach tej generacji, która go z trudem i własnym wysiłkiem zdobywała. Dzieci kształcono również poza Kartuzami w środowiskach raczej nie-kaszubskich. Różnie to było komentowane przez przyjaciół ojca.

Ostatnie lata wnoszą cię choroby do naszego domu. Choroba, która od lat męczyła, odezwała się ze wzmożoną siłą. Trzeba było oszczędzać, osłaniać ojca, co nie było niestety takie łatwe. Często teraz przy drzwiach wejściowych pada zdanie: pana doktora nie ma w domu. Nieraz jednak służbę wprowadza w kłopotliwe sytuacje, bo chociaż sam poleca nikogo nie przyjmować, na dzwonek wychodzi i przyjmuje chorego, któremu przed chwilą powiedziano, że doktora nie ma w domu. Siły fizyczne jednak ubywają. Ataki serca zmuszają czasami do leżenia. Rzadko jednak dłużej leży. Jego optymizm nie pozwala poddać się chorobie i utrzymuje w domu atmosferę wiary, że będzie lepiej, chociaż już lepiej być nie mogło. Swym siłom psychicznym zawdzięcza, że nadal pracuje twórczo, tylko z większym już teraz pośpiechem. Zaczyna też wreszcie dbać o swoje zdrowie. W ostatnich latach wyjeżdża już systematycznie na urlopy. Uważa, że brak mu wypoczynku, że powinien oderwać się od klimatu miasta.

Jeden z urlopów spędza w Oliwie. Pisze wówczas historię Kaszubów. Potrzebna jest mu atmosfera starej katedry. Pewnej niedzieli przyjechał do mnie /przebywałam wówczas w szkole w Wejherowie/: "Chcę cię zawieźć na groby książąt pomorskich. Każdy Kaszuba po -

winien tam spieszyć z pielgrzymką. Będzie dobrze, jeśli razem odbędziemy tę pielgrzymkę". W Gdańsku wówczas wrogi panował język, królowały mundury brunatne młodzieży hitlerowskiej. W przeciwieństwie do tego katedra powitała nas ciszą i spokojem. Tutaj nie dochodziły dźwięki obcej mowy. Mówiła z tych murów historia ojczysta. Spotkało się opowiadanie ojca z pomnikami naszych dziejów. Na długie lata pozostał mi obraz tego dnia. To była jego ostatnia a moja pierwsza pielgrzymka do grobów książąt pomorskich.

Później już stale wyjeżdżał tylko do uzdrowisk, czy to Krynicy, czy Inowrocławia. Leczył się balneologicznie. Miał zawsze najwięcej zaufania do tego typu leczenia. Do końca życia marzył o pobudowaniu w Kartuzach sanatorium. Zachował się dotąd pierwszy projekt tego sanatorium. Białego też pewnie w domu u nas królowały w leczeniu : wszystkich dolegliwości.

Rok 1935 - jakkolwiek troski i kłopoty ciężkim cieniem krążyły po domu, zdrowie ojca bowiem coraz więcej budziło obaw - przyniósł dzień radosny. Był to dzień ukazania się pierwszego tomu Remusa. Umiał się ojciec jak dziecko cieszyć i te pierwsze przyniesione egzemplarze wywołują wielką radość. Kilka z nich oprawia w batik. W tym też roku we wrześniu urządził wystawę kultury kaszubskiej na parterze willi. Dużo w jej organizację włożył sił i energii. Uroczyste otwarcie zgromadziło wówczas w naszym domu kwiat inteligencji kaszubskiej. Ale zdrowie ojca już wówczas raczej na takie emocje nie pozwalało. W grudniu wyjeżdża z synem Mestwinem na kurację do Krynicy.

Latem 1936 roku towarzyszyłam ojcu w jego urlopie do Inowrocławia. Zamieszkaliśmy w małym pensjonacie, jakkolwiek miał do dyspozycji luksusowy dom kuracyjny. Myślę, że nie chciał się dostać pod opiekę lekarzy. Z tym to niestety zawsze był kłopot. Był już

wtenczas bardzo chory. Dlatego też prowadziliśmy bardzo spokojny tryb życia. Nasz kontakt z ludźmi był raczej luźny. Ojciec pisał wówczas historię Kaszubów, o ile sobie dobrze przypominam - czasy Świętopełka. Poza zabiegami, które zajmowały przedpołudnia, spędzaliśmy czas na spacerach. Te spacery zawsze były atrakcyjne, nawet dla 13-letniej dziewczynki. Umiał ojciec w przystępnej dla dziecka formie zbliżyć do przyrody i ciekawie przeplatać rzeczywistość z przeszłością.

Mimo złego samopoczucia zawsze jednak odzywał się w nim lekarz. Przypominam sobie taki bliższy kontakt z właścicielem dorożki konnej, który nas przywiózł z dworca. Ojciec zauważył, że coś dolega jego koniowi i z wielką troskliwością leczył go przez cały nasz pobyt na kuracji. Nie pozostawał również mimo złego samopoczucia poza toczącym się życiem. Wszelkie sprawy Pomorza żywo go interesowały. Kuracja wróciła chwilowo siły. W każdym razie zdaje się, że psychicznie wypoczął. "Za bardzo się kwasimy w naszych troskach i kłopotach z mamą, za poważnie bierzemy życie, a za mało używamy rozrywek" - stwierdził wówczas. I w tym pewnością miał rację, czego ja wówczas naturalnie nie rozumiałam. Z radością wracał do domu. Po drodze wstąpiliśmy do Poznania. Chciał mi pokazać miasto. Był radosny, pełen nadziei na lepsze jutro. Uważał, że choroba ustępuje. Ożyły również marzenia o pobudowaniu sanatorium. W ogóle wtenczas pełen był nowych projektów. Był to niestety ostatni jego wyjazd na urlop, chociaż w następnym roku projektował wyjazd do Francji. Po kilku miesiącach choroba wróciła ze wzmożoną siłą. Serce coraz bardziej odmawiało posłuszeństwa. Noce zaczynają być niespokojne, pełne trwogi. Gdy w dzień poczuje się lepiej, wstaje i normalnie pracuje. Jeszcze historia Kaszubów nieskończona. Sprawy kaszubskie wchodzą do domu i na nie musi być czas. Nimi tylko żyje. Wreszcie i historia trafia do drukarni. Przychodzą pierwsze korekty. Jest też nadzieja na wydanie całego

Remusa. Teraz już stale siedzi, o ile na to siły pozwalają, nad maszynopisem Remusa, stale coś poprawia. Czasami dla odpoczynku sięga do albumu znaczków, które z taką miłością przez całe życie zbierał.

W domu jednak coraz cięższa atmosfera. Ciężkie ataki przerywają nocę, stawiają domowników na nogi. Długie są teraz te noce i bezsenne. Ojciec czytuje kryminały. Ranki nie przynoszą sił. Jest już koniec - ność wezwania lekarza. Sprawa bardzo trudna. Ojciec nie chce słyszeć o lekarzu. Nieliczni już tylko mają wstęp do domu. Obecność obcych męczy go. Na prośbę matki przychodzi pod pozorem wizyty grzecznościowej lekarz i namawia na udanie się do szpitala. Ojciec godzi się na to. Wszyscy wierzymy, że mu zdrowie wróci. Odtąd codziennie spędzamy całe dnie u ojca w szpitalu. Szczególnie jest mu potrzebne towarzystwo matki. Nie długo tam jednak przebywa. Chce wrócić do domu i na to nie ma rady.

Powrót jest radosny. Lekarze lubią oszczędzać rodzinę lekarską. Nikt nie wyjaśnia, że stan jest beznadziejny. Jak dzisiaj widzę ten powrót, Ojciec wchodzi ciężkim już wówczas i powolnym krokiem do salonu. Siada w starym, szczególnie ulubionym bidermayerowskim fotelu i wyciąga ręce: "Jaki ja szczęśliwy, że znowu jestem w domu". - Jeszcze choinka stoi w salonie. Prosi, by zapalić świece. Matka siada do fortepianu. Szczęśliwi nieświadomi. Jest miły, rodzinny wieczór. Troski gdzieś pierzchły. Niedługo jednak pozostaje w domu. Choroba nie ustępuje. Przyjeżdżają lekarze z Torunia. Robią gwałt. Koniecznie trzeba ojca przewieźć do Gdyni, oddać pod opiekę specjalistów. Jeszcze można ratować, można wrócić zdrowie.

Zaledwie tydzień był w domu i znowu wyjazd. Odwozi ojca matka samochodem. Towarzyszy dr Mroczkiewicz z Kartuz. Po drodze samochód zaczyna się palić. Z trudem dojeżdżają późnym popołudniem do Gdyni. Wleczko -

rem matka wraca do domu. Nim jednak zdążyła wejść w progi mieszkania, już telefon; telegram - ojciec wzywa do Gdyni. Tego samego dnia jeszcze wraca, by tam pozostać do końca dni ojca. Ordynator oddziału dr Biederski mówi uczciwie: najwyżej dwa tygodnie życia. Matka wzywa dzieci. Na życzenie ojca przywozimy mu jego ulubionego kota Murlego. Niedawno wstawał do niego w nocy, gdy miał zapalenie płuc, teraz kotek liżąc ręce swego pana stwarza mu pozory atmosfery domowej.

10 lutego wśród salw armatnich z okrętów i rakiet oświetlających miasto i brzeg morski - Gdynia obchodzi uroczystości, jak co roku, rocznicę zaślubin z morzem - o 5<sup>30</sup> wieczorem umiera. Zostaje pochowany w Kartuzach na cmentarzu, który sam projektował i za - twierdził jako lekarz powiatowy. Zapomniano niestety o jego życzeniu spoczęcia na cmentarzu żukowskim.

ZYGMUNT BROCKI, HUBERT GÓRNOWICZ

JAK SIĘ NAZYWA POTOK ODDZIELAJĄCY KOLIBKI OD SOPOTU?

W artykule "Lubiana czy Łubiana?" /Biul. Zrzesz. Kasz. Pom. 1968, nr 1/ E. Breza na pytanie postawione w tytule odpowiada: wieś przy linii Kościerzyna-Chojnice nazywa się Ł u b i a n a , a nie L u b i a n a , jak chcą niektórzy, przede wszystkim PKP; postać L u b i a n a - pisze E. Breza - "jest niemożliwą na gruncie polskim. Tłumaczy nam ją jedynie wpływ niemieckich na język polski na terenie Pomorza i na dialekt kaszubski".

Natomiast na pytanie postawione w tytule obecnego artykułu <sup>trzeba</sup> odpowiedzieć tak: w języku powojennych mieszkańców Gdyni, Sopotu, Gdańska powszechnie potok ten nazywany jest K a m i e n n y m P o t o k i e m ,

choć ma on zupełnie inną nazwę.

Nazwa tego potoku po raz pierwszy zapisana jest w dokumencie z 1235 r.: "rivulum qui S w e l i n a dicitur" /w rzeczka, która nazywa się S w e l i n a/. Taki sam zapis, S w e l i n a , mamy w dyplomach z 1283, 1291 i 1295 r. Tak samo podaje "Słownik geograficzny Królestwa Polskiego", w t.IX z 1888 r. Niemiecki autor F.A. Brandstätter w książce "Land und Leute des Landkreises Danzig", wydanej w Gdańsku w 1878 r., podał formę S w i l l i n a . Formę dokumentową S w e l i n a mamy znów w literaturze międzywojennej, m.in. u historyka Pomorza ks. P. Czaplewskiego, następnie u "odkrywców polskiego wybrzeża", B. Chrzanowskiego i historyka J. Matuszewskiego, zaraz zaś po wojnie - u archeologa i historyka Pomorza, sopockiego proboszcza ks. W. Łęgi. W wydany w 1963 r. folderze krajoznawczym "Sopot" jest S e w e l i n a , w roku następnym w "Zeszytach Geograficznych WSP w Gdańsku" - znów S w e l i n a .

Zapis w średniowiecznych dokumentach w postaci Swelina można odczytać literalnie, a więc jako S w e l i n a , albo-pamiętając, że Niemcy nie zapisywali miękkości głosek - jako S w e l l i n i a , z miękkim n.

W S w e l l i n i a mamy formant/element słowotwórczy formujący wyraz pochodzący od podstawowego /-i n i a , jak np. w nazwach miejscowości kaszubskich: Ch a r w a t y n i a , G d y n i a czy w nazwie rzeki L u t y n i a . Natomiast w S w e l i n a formantem jest -i n a , z twardym n. Ten formant też tworzył nazwy rzeczne, np. B r u s i n a , tak więc oba odczytania nazwy interesującego nas potoku, S w e l i n a oraz S w e l l i n i a , są prawdopodobne . Ale m.in. ze względu na istnienie w pobliżu potoku starej nazwy G d y n i a odczytanie S w e l l i n i a z miękkim n, jest bardziej prawdopodobne.

W nazwie tej tkwi ten sam rdzeń, co w nazwie rze-

ki W e l /dopływ Drwęcy/ i wielu nazwach miejscowych, np. W ą w e l /dzisiejszą formą tej nazwy jest W a w e l /. W nazwie S w e l i n i a rdzeń poprzedzony jest przedrostkiem /tak samo jak w nazwie W ą w e l /. Rdzeń tkwiący w przytoczonych nazwach oznaczał: wilgoć, mokrość, ciecz, woda, a więc cała nazwa interesującego nas potoku oznaczała: miejsce, gdzie się gromadzi wilgoć, woda, czyli: jest to ściek.

Tę słowiańską starożytną nazwę Niemcy zastąpili w nowszych czasach swoją nazwą G r e n z f l i e s s, która dosłownie oznacza: Potok Graniczny. Potok ten bowiem zawsze stanowił granicę /północną/ Sopotu. Takiej też nazwy, G r e n z f l i e s s, używali Niemcy w okresie międzywojennym, gdy potok ten stanowił granicę państwową między Wolnym Miastem Gdańskiem i Polską.

Nazwę tę Niemcy przenieśli też na najbardziej północną część Sopotu: nazwę G r e n z f l i e s s nosiła dzielnica między potokiem Grenzfliess na północy a dzielnicą zwaną S t e i n f l i e s s na południu, wzdłuż której przepływa potok zwany S t e i n f l i e s s ; potok ten uchodzi do morza tu, gdzie się dzisiaj znajduje przyplazowa kawiarnia "Meduza" /potok ten przepływa pod peronem dzisiejszego przystanku kolei elektrycznej Kamienny Potok/.

Po II wojnie światowej wskutek nieporozumienia nazwę tego drugiego potoku S t e i n f l i e s s, przekalkowaną na K a m i e n n y P o t ę k, przeniesiono na Swelinę, o czym już wspominaliśmy na początku: w języku dzisiejszych mieszkańców Gdyni, Sopotu i Gdańska graniczny potok między Gdynią /Kolibkami/ i Sopotem zwany jest K a m i e n n y m P o t o k i e m, gdy Steinfluss obecnie jest potokiem bezimiennym.

Tak więc Niemcy, usuwając starożytną kaszubską nazwę potoku oddzielającego Kolibki od Sopotu<sup>doprowadzili</sup> do tego,

że wyszła ona z użycia także dzisiaj. Jest najwyż -  
szy czas, aby do niej wrócić!

Jednocześnie nazwa K a m i e n n y P o t o k  
powinna wrócić na swoje miejsce, tj. tak się powinno  
nazywać ów drugi potok przebiegający przez północny  
Sopot. Wprawdzie nazwa ta jest kalką niemieckiej naz-  
wy S t e i n f l i e s s , ale w tym wypadku kalkę  
można usankcjonować, potok ów bowiem polskiej nazwy  
chyba nigdy nie miał / w każdym razie źródła na jej  
istnienie nie wskazują.<sup>x</sup>

Dodajmy, że nieporozumienie z nazwą K a m i e n -  
n y P o t o k poszło aż tak daleko, iż nazwą tę  
określa się nie tylko potok Sweliną i nie tylko naj-  
bardziej północną część Sopotu, położoną właśnie  
nad potokiem Sweliną, ale nawet i część sąsiednie -  
go miasta, tj. Gdyni! Mianowicie K a m i e n n y m  
P o t o k i e m nazywa się dziś również tę część  
Kolibek, która przylega do Swelini. Na obszarze tej  
części Gdyni-Kolibek jest m.in. wczasowisko "wago -  
nowe" PKP i tutaj odbywają się przełajowe zawody mo-  
tocyklowe. Otóż mówi się i czyta w prasie gdańskiej  
o "wczasach wagonowych w Kamiennym Potoku" i o "za-  
wodach motorowych w Kamiennym Potoku". To jest już  
zupełna kompromitacja! Przypomnieć tu należy, że wieś  
o nazwie K o l i b k i istniała już w 1383 r. i  
nigdy do Sopotu nie należała. Dzisiaj jest, jak wia-  
domo, częścią miasta Gdyni.

W cytowanym na początku artykułu E. Breza pisze,  
że choć mieszkańcy wsi o nazwie Ł u b i a n a wła-  
śnie tak wieś tę nazywają i choć ta postać jest urzę-  
dową /i/, kolej nie chce jej respektować: połączony  
przy wsi przystanek kolejowy nosi nazwę Ł u b i a -  
n a , która jest refleksem niemieckiej nazwy przy-  
stanku: L u b i a n e n . Niestety podobnych wypad-  
ków jest więcej. Np. przystanek kolei elektrycznej  
położony na obszarze dzielnicy Sopotu K a r l i -

k o w o /jest to nazwa znana od dawna i dzisiaj urzędowa! Nazwa taka jest zresztą i gdzieśindziej na Kaszubach/ nie nazywa się S o p o t - K a r l t - k o w o , lecz S o p o t - W y ś c i g i . A przystanek położony na obszarze połaci Gdańska o nazwie P o l a n k i , przez wiele lat noszący nazwę G d a ń s k - P o l a n k i , kolej przed kilku laty przemianowała na G d a ń s k - P r z y m o r z e . Wprawdzie nazwa P r z y m o r z e jest również bardzo stara /pierwszy zapis z 1279 r/, ale przystanek nie leży na obszarze dzielnicy o tej nazwie, lecz - jak już powiedziano - znajduje się na obszarze P o l a n e k .

---

<sup>1</sup> Powyższy tekst jest popularnym streszczeniem obszerniejszego artykułu autorów, który się na temat nazwy Swelina-Swelinia ukaze w 1969 r. w tomie XIV "Onomastica", naukowego czasopisma poświęconego nazewnictwu.



JAN KARNOWSKI

MOJA DROGA KASZUBSKA /20/

XII.

Oczekiwanie wyrażone w powyższym wierszu zostały nagle zniszczone w maju 1926 r. Czego pragnęli, nastąpiło. Tylko jak zwykle, każdy sobie tę sprawę i sprawców inaczej wyobrażał. Pomorze w tej rzeczy odgrywało dość poślednią rolę. Było jak zwykle zdezerentowane. Czepiało się jak zwykle ogona poznańskiego. Wyznać muszę, że i mój zmysł orientacyjny, który przedtem był dobry, mnie tutaj zawiodł. O własnym psychicznym nastawieniu na tym miejscu pisać nie będę - gdyż to z przedmiotowego tematu: "Kaszubszczyzny" nic nie ma wspólnego. Koniec końcem, wystąpiłem ze sądownictwa i zostałem adwokatem w Toruniu, współnikiem znanego i wybitnego adwokata dr Ossowskiego, poza tym niepośledniego polityka endeckiego na gruncie pomorskim. Wyznaję szczerze, że uczyniłem to z obawy przed represjami, których nagość oczekiwano. Później okazało się, obawy te były płacone. W międzyczasie zrewidowałem pierwotne zapatrywania na wypadki majowe i powiedziałem sobie, że negatywne, opozycyjne ustosunkowanie się do rządu, który umie rządzić, jest dla Polaka absurdem, a dla Kaszuby tym bardziej, gdyż Kaszubi wymagają mocnego i stałego rządu i z nim w zgodzie i harmonii żyć powinni. Polskie walki ustrojowe nie powinny być rozgrywane na Kaszubach, ani nawet na Pomorzu, lecz tam, gdzie jest punkt ciężkości, serce polskiego narodu, tj. w Warszawie. Tak było dawniej, tak też z natury rzeczy i dziś inaczej być nie może. Kresy nie mogą kontynuować walki ustrojowej po rozstrzygnięciu jej w centrum państwa. A szczególnie Kaszubi nie powinni się dać nadużyć do roli "utrzydupskiego".

lub tego, który za innych i dla innych wybiera kasztan z ognia. Te refleksje, potem ciężka choroba, wreszcie obrzydzenie, jakie u mnie wywołała praca adwokacka, zniewoliły mnie do powrotu do sądownictwa. Wiedziałem, że po tym powrocie kariery nie zrobię, jednakowoż spodziewałem się, że jedynie w tym zawodzie będę miał możliwość oddawać się aspiracjom literackim, a szczególnie literaturze i historii kaszubskiej, co w zawodzie adwokackim byłoby niemożliwe, nawet wprost szkodliwe, gdyż nikt nie ma szczególnego zaufania, przynajmniej ma pewne zastrzeżenia wobec adwokata, oddającego się z pewną namiętnością jakimś ubocznym studiom, a co gorsza-literaturze i poezji i nawet sam wiersze "robi". Prędzej uchodzi to już w sądownictwie.

Pod względem kaszubszczyzny był pobyt mój w Chojnicach korzystny i produktywny. Zetknąłem się po długoletniej przerwie znów bezpośrednio z ludnością kaszubską, miałem możliwość wnikania w jej duszę, co doprowadziło do coraz większego zespolenia własnego "ja" z tą duszą ludu.

Często jeździłem do Czarnowa, do gniazda rodzinnego, nie tkniętego ani nie spaczzonego nowoczesną i niwelującą cywilizacją. Zastałem Czarnowo mimo wielkiej wojny, mimo Polski, takim, jakim było w latach mej młodości przed wojną. Mowa kaszubska i obyczaj kaszubski żyły tu w całej pełni. Z Czarnowa brałem popęd i na technienie do dalszej pracy pisarskiej. Gdy przyszły chwile zwątpienia i oschłość ducha, lenistwa i upadku stawiałem sobie jako dewizę słowa Carlyle'a: "Arbeiten und nicht verzweifeln".

Pisywałem na razie dalej dla Mestwina, w następnych rocznikach jest tam cały szereg moich artykułów, między nimi najobszerniejszy p.t. "Odkrycie Kaszubów". Przygotowywałem także rozprawkę dla Instytutu Bałtyckiego: "O regionalizmie kaszubskim", do której zabrałem się z inicjatywy śp. dra Tietza. Praca ta była już w koncepcie napisana, lecz niestety zostawiłem ją

w pociągu, jadąc do domu, i przepadła. Zaginęło w niej także kilka rzeczy kaszubskich, które szczególnie były mi droższe. W pracy o regionalizmie dałem pogląd na literaturę ludową niepiisaną, potem na literaturę pisaną, na ludoznawstwo i sztukę ludową i na jej wyraz <sup>całkow. W.K.!</sup> niejakiego doczekała się pod twórczą opieką państwa Gulgowskich. Drugi raz już nie zdołałem pracy tej napisać i nie zdołałem mego przyrzeczenia danego Instytutowi Bałtyckiemu wykonać.

Pracą pokrewną jest krótka rozprawka "O swojszczyzną kaszubską", którą napisałem na skutek zaproszenia Akademickiego Koła Pomorskiego dla rocznika pamiątkowego, który około zdaje się w r. 1929 z okazji 10-lecia swego istnienia wydało. Tutaj opisałem powstanie i pracę Towarzystwa Młodokaszubów pod przewodnictwem dr Majkowskiego i walkę z obozem przeciwnym, tj. z polskimi tradycjonalistami z jednej strony, a niemieckimi hakatystami z drugiej strony. Młodokaszubom chodziło o wydobycie, utrwalenie i rozwój pierwiastków kulturalnych kaszubskich, słowem o stworzenie regionalizmu kaszubskiego. Była to praca regionalistyczna w całym tego słowa znaczeniu, brak było jedynie określenia, czyli terminologii regionalnej. Przeciwnicy, tj. tradycjoniści starali się z uporczywością wprost skandaliczną pracę tę zdyskredytować i wmówić społeczeństwu polskiemu, że to separatyzm wody, separatyzm niepolski, albo nawet antypolski, gorszy nawet może od Ceynowizmu.

Trzecią większą pracę była rozprawa historyczna na temat: "Udział Pomorzan we walkach o niepodległość". Pracowałem nad nią w latach 1929/30. Pisałem ją na pamiątkę 10-lecia przyłączenia Pomorza do Polski. Ofiarowałem jej wydanie Księgarni i Drukarni św. Wojciecha w Poznaniu i Drukarni Słowa Pomorskiego, lecz obie odmówiły. Później ogłosiłem niektóre rozdziały w Kestwinie, zaś całość w nowym Gryfie, redagowanym przez dr. Pniewskiego. Rzecz rozpoczyna się od kon -

federacji Barskiej na Pomorzu i kończy się na zajęciach r. 1919. Ma się rozumieć, że ten ostatni rozdział nie jest wyczerpujący, jest on tylko fragm - taryczny. Szczególnie mało danych podaje o ówczesnej tajnej organizacji wojskowo-powstańczej na Pomorzu pod nazwą Organizacja Wojskowa Pomorza, której sze - fem był dr Kręcki z Gdańska. Organizacja ta otaczała się wówczas jeszcze grubym milczeniem i tajemnicą . Gdy Gryf drukował moją pracę, a między innymi także me uwagi o tej organizacji - pisał do mnie dr Kręcki list, prosząc o wstępną rozmowę. We feriach, zdaje się r. 1933, odwiedziłem go w Gdańsku i przy tej okazji wyraził zdanie, że zaleca się o tej organizacji na razie nie pisać, gdyż mogło to by szkodzić niektórym b. członkom jej, którzy obecnie znajdują się w Niem - czech. Na to powiedziałem, że przez 2 lata będę o niej milczał, lecz spodziewam się, że organizacja sa - ma o sobie napisze. Jeśli to nie nastąpi w 2 latach, zastrzegam sobie później wolną rękę. W międzyczasie - rozpoczęła się w Toruniu akcja gromadzenia materia - łów i napisania historii ruchu niepodległościowego na Pomorzu. Byłem na konstytucyjnym zebraniu w Toru - niu i wtenczas zaznaczyłem, że bez aktów O.W.P. nie ma co pisać takiej historii, gdyż najważniejsze są przygotowania do zbrojnego wystąpienia. Wtenczas mnie w Toruniu poinformowano, że Kręcki informacji potrze - bnych o OWP udzieli. Czy to dotąd nastąpiło - nie wiem. Obecnie /1935r./ niektórzy b. członkowie, jak np. Szpręga z Czerska i Jan Skwierawski z Chojnic na własną rękę gromadzą materiał dotyczący OWP i chcą go opublikować w "Dziejach Pomorza", redagowanych przez Szpręgę. Wątpię, czy to się im uda. Dotychczas się jeszcze nie ukazało.

/Rękopis na tym się kończy. Do druku przygotowali F.M. i W.K./

JULIUSZ POBŁOCKI

NA KASZUBACH PRZED 100 LATY /4/

Ojciec Pankracy Bulman, Kaszuba z dziadów i pra -  
dziadów, był wówczas rektorem szkoły wejherowskiej .  
Sam z chłopów pochodząc nie lubił szlachty i przy ka-  
tdej okazji dał nam to uczuć. Biada temu z nas, który  
się tak dobrze Alwara nie nauczył, jak syn chłopski .  
Niechybnie wypisał mu w takim razie przywilej dyscy -  
pliną na odwrotnej stronie jego figury. Ale trzeba mu  
przyznać, że o tyle był względnym, iż dziecka szlachec-  
kiego nigdy indziej nie ćwiczył jak na kobiercu, a  
była nią stara skóra ogromnego dzika, którą przed  
krzesłem Ojca profesora leżała. Zresztą między nami  
nie było najmniejszej różnicy. Czy Belok spod Pucka,  
czy Niniołk spod Żeby, czy Poloch spod Kościerzyny,  
szlachcic nieszlachcic, nienauczywszy się naleźycie  
lub przeskrobawszy coś, każdy musiał z pokorą sęk po-  
całować, a przy tej manipulacji karząca nemezis w po-  
staci ogórków na faciem posterioiem spadała.

Lecz nie wyprzedzajmy faktów.

Pan Antoni wyszukawszy w mieście Pioterkowi kwate-  
rę - a była ona w owe czasy tania, gdyż się przywozi-  
ło mąkę, kaszę, masło itd. i tylko kilka złotych na  
sól i za fatygę się zostawało - udał się z nim do kla-  
sztoru przed Ojca Pankracego. Ten zmierzył Pioterka  
surowym wzrokiem od stóp do głów i spostrzegłszy nie-  
dwuznaczne ślady wąsów pod jego nosem, spytał się:

- No, spory mi chłopak, co też już umie?

- Niewiele, Ojczye wielebny, componit syllabas, od-  
powiedział pan Antoni, lecz niech reverendissimi pa-  
tres mają trochę cierpliwości i nie szczczędzą pracy.  
Matka jego chętnie wynagrodzi te trudy, na święta  
znajdzie się dla klasztoru jałowiczka lub byczek.

- No, no, już dobrze, pomruczał sobie pod nosem Oj-  
ciec Pankracy, kontentujemy się byczkiem, ale trzeba

będzie dopomagać monitorem.

Przygryzł sobie wargi pan Antoni na taką alluzją, ale ze względu na osobę duchowną wolał milczeć i udawał jakby nierozumiał przymówki.

Potem Ojciec Pankracy zwrócił się do Pioterka:

- Waszeć teraz pożegnaj się z stryjem i ruszaj do infimy.

Byłem ci wtenczas i ja w infinie. Nieznałem co prawda mego, że familia Lewińskich jakoś daleko z nami była pokrewniona i dlatego szczerą mu zaraz przyjaźń ofiarowałem. Niestety! przyjaźń ta była przy - czyną, że stałem się towarzyszem i świadkiem licznych jego w późniejszym życiu niepowodzeń, które pod innymi warunkami nie byłyby tak bolesnych zostawiły w mem sercu śladów.

Zaraz dnia następnego chciał przypadek, że O. Pankracy mnie i Pioterka przeznaczył na ministrantów do mszy szkolnej. Ja już znałem służbę przy ołtarzu, Pioterek miał przy mnie się wprawić. Klęczeliśmy obydwa na stopniach, reszta szkolników na flizach. Zdawało mi się zaraz na początku mszy św. spostrzec u Pioterka pewną niespokojność, rosła ona w miarę jak msza św. postępowała. Przypisywałem to jego lęklivosti, ile że po raz pierwszy ten urząd sprawuje, a pod koniec słyszę poza sobą przytłumione chichotanie; pochodziło ono z grona kolegów. Mimo woli patrzę trochę na stronę, a co za widok oczom moim się przedstawia? Akuratnie spod Pioterka źródło czystej jak kryształ wody wypływa i jak niektóre rzeki w pias - kach pustyni, tak strumyk ten ginie w zbitej gromadzie towarzyszków. Oczywiście że to musiało sprawić pewne zamieszanie. Zrazu nie mogłem sobie tego wytłumaczyć, aż później dopiero dowiedziałem się przyczyny. Biedak zaniechał był przed rozpoczęciem nabożeństwa zaspokoić małą naturalną potrzebę, a potem fałszywie rozumiejąc, że od ołtarza nie wypada wychodzić na dwór, doczekał się tej niemiłej niespodzian-

ki.

Wszyscy truchleli na myśl, co za kara spotka Pioterka, zwłaszcza że znana nam była surowość O. Pankracego. Tymczasem stało się czego nikt nie przypuszczał. Pioterek wyszedł bezkarnie, a odebrali cięgi o których się wydało, że we mszy św. się śmiali.

Lecz to ma wisieć, nie utonie. Toteż Pioterka nie minął los srogi, a jego położenie tem bardziej było pożałowania godne, że nie tylko miał cierpieć od dyscypliny Ojca Pankracego, ale może jeszcze więcej od języków złośliwych kolegów. Zdawało się prawie, że się wszystko na niego zaprzysięgło.

Trzy tygodnie po jego przybyciu pani Józefa jego matka, trąskliwa o zdrowie synalka, wysłała do Wejherowa Stacha fernala, aby mu zaniósł niewygotowaną na czas parę spodni a przy tej okazji chciała uzupełnić jego zasoby spiżarni. Stach przybywszy do miasta spytał się jednego mieszczanina, gdzie to są ci studenci. Ten mu wskazał szkołę klasztorną. Bystrem okiem przejrzał on długi szereg okien i niebawem odkrył, za którym z nich jego panics się znajduje. Nie wiele się tedy namyślając rezolutnie wchodzi do klasy, rozumie się bez zapukania i donośnym woła głosem: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Potem na pierwszym stole składa czemś ciężkim wypełnione spodnie i mówi: Matynka przysyła Pioterkowi serdeczne pozdrowienia i te buksy: w jednej nogawicy jest chleb, w drugiej gomałka, a - w rzyci masło.

Gała klasa wybuchła szalonym śmiechem. O. Pankracy zaś, który nam właśnie wykładał ewangelię o cudownym pomnożeniu chleba, w pierwszym momencie na takie suchwalstwo oniemiał: obstupuit, steteruntque comae, vox faucibus haesit. Ale potem wybuchł gniewem: A ty ośle dardański, czy nie widzisz, że to szkoła?

Stach, nie pojmując co złego zrobił, stał z otwartą na pół gębą. Lecz widząc rozgniewaną minę zakonnika,

a co więcej, <sup>że</sup> dyscyplina jakoś w jego rękę zaczyna się ruszać, uznał za stosowne ~~czem~~prędzej z pokoju się wycofać, co też uskutecznił, zapomniawszy tym razem nawet Boga pochwalić.

Nas wszystkich oczy teraz na Pioterka się zwróciły. Lubo zwykle nie był bardzo drażliwym, wszystka krew od wstydu uderzyła mu w twarz i wyglądał czerwony jak rak, którego <sup>co</sup> dopiero z wrzącej wody wyjęto.

O. Pankracy kazał mu zostawione spodnie natychmiast zanieść na kwaterę swoją i tylko te słowa dodał: "Największa to też bieda z tem mirachowskim bydłem".

To mi przypomina podobne poniekąd zdarzenie, którem nieraz słyszał z ust śp. Ojca mego. Pewien gburek z borów przyjechał pewnego razu do Gdańska z okrasą /potaż wywarzony z ługu drzewnego/ na sprzedaż. Miał z sobą synalka, sporego dragalą, a większego jeszcze nieuka i niezgrabijaża, tak że ojczysko już zdesperowało, czy będzie kiedyś zdolnym do prowadzenia gospodarstwa odziedziczonego. W tem jego utrapieniu ktoś mu wspomniał o tem, że pono z wszystkich księży najmądrszymi są Dominikanie. Kiedy tak, pomyślał sobie, trzeba będzie Kostusia raz do nich zaprowadzić. A że sam nigdy w szkołach nie był, więc był przekonany, że jak od kupca towaru, tak też można mądrości na postaniu dostać. Wziął tedy tłustą gęs pod pachę, on jedną a synalek drugą, a tak udali się do klasztoru Ojców Dominikanów. U furty oddał swe podarki i użaliwszy się na swoją biedę, prosił, aby podczas gdy sprzedawać będzie okrasę, nauczono jego syna mądrości.

Braciszek, widąc wielki filut, odpowiedział:

- Nic łatwiejszego jak to. Idźcie tylko, ojczulku, do swojej okrasy, za dwie godziny zaś wróćcie, a stanie się według waszego życzenia.

Gdy w oznaczonym czasie przyszedł po syna, braciszek odezwał się do tegoż:

- Nuże Kostku, powiedz teraz tatce, czegoś się nauczył.

A Kostek, stojąc jak drag, wyrecytował następujący wiersz:

Mój ojciec wół,  
Moja matka krowa,  
A siostrzyczka jałowiczka  
Wszakże mądra mowa?

Zachwycony tatunio niesłychanym sukcesem, zawołał:

- A dyć teraz sam widzę, że Dominikanie są najmądrsi księża.

I odszedł uradowany z synalem, podziękowawszy od serca braciszce.

Lecz wróćmy do Pioterka.

Czas, który przepędził w szkole wejherowskiej był dla niego ciągłym łańcuchem utrapienia. Nic on nie mógł pojąć, nic spamiętać, tak że każdy malec z niego sobie szydził.

- Spytał go się profesor:

- Gdzie się Pan Jezus urodził?

Już chciał odpowiedzieć, że w Betlejem, wtem niegodziwy Bolek podszepnął mu: w Pucku, a on nie myśląc za nią powtórzył to samo.

Podobnie:

- A gdzie mękę cierpiał?

"Na kalwarii wejherowskiej."

- Czem byli przedtem apostołowie?

"Rybakami".

- Na jakim morzu zwykle łowili?

"Na małym morzu pod Helem."

Że po takich odpowiedziach zwykle приходило się pocałować i znajomość zrobić z ogórkami O. Pankracego, byłoby zbyt cennym wspominać.

Po roku mozolnej takiej nauki tak się nią przesycił, żeby go sto koni na powrót do Wejherowa niezaciągnęło. Wymógł też na mamuni, że go w domu zatrzymała, uwa

zając jego edukację za ukończoną. Złośliwi koledzy szeptali sobie do ucha, że najwięcej ją do tego kroku skłoniła autopsia loci devastati, na którym zbyt wyraźnie stempel boćkowskiego monitora był wyciśniony.



**kronika  
zrzeszenia**



#### **"POMORANIA" W OBOZIE STUTTHOF**

21 kwietnia 30-to osobowa grupa członków "Pomorania" udała się na teren obozu koncentracyjnego Stutthof. Po terenie obozowym oprowadzał i udzielał wyjaśnień, uprzednio dając rys historyczny dziejów tego obozu, prezes Zarządu Głównego Zrzeszenia mgr Bernard Szczepański, były więzień Stutthofu. Pod ścianą nowo wzniesionego pomnika złożono kwiaty. Obejrzano również dokumentalny film o Stutthofie.

W drodze do Sztutowa pomoraniecy zwiedzili zamek pokrzyżacki w Malborku.

Krótką oceną: impreza w pełni udana. /wk/

#### **SEMINARIUM KRAJOZNAWCZE**

Również 21 kwietnia odbyło się "seminarium krajoznawcze" na temat literatury turystyczno-krajoznawczej Pomorza Gdańskiego. Uczestnicy seminarium wysłuchali odczytu mgra MARIANA SOBAŃSKIEGO p.t. "Narodziny i tradycje literatury krajoznawczej i regionalnej" oraz mgra CZESŁAWA SKONKI pt. "Problemy rozwoju wydawnictw krajoznawczych i regionalnych". Organizatorami seminarium był ZW TRZZ, OKK PTTK i ZG Zrzeszenia K-P.

AKTUALNOŚCI POMORSKIE \* AKTUALNOŚCI POMORSKIE

KASZUBA ESPERANTO-CENTRO czyli Kaszubski Ośrodek Esperancki powstał 20 stycznia br. przy Zarządzie Woj. Polskiej Młodzieży Esperanckiej. Ośrodek ten powstał głównie dzięki zabiegom Andrzeja Marszałkowskiego i Władysława Pałaszewskiego. Również dzięki staraniom A. Marszałkowskiego powstał 18 lutego, po uprzednim kursie języka esperanckiego, w Kartuzach Oddział Polskiego Związku Esperanckiego. Ten aktywny młody działacz kieruje także kółkiem esperanckim w kartuskim Liceum Ogólnokształcącym im. H. Derdowskiego, w satorium w Dzierżążnie oraz przy Państwowym Ognisku Muzycznym w Kartuzach. Chór tego ogniska przygotowuje m.in. repertuar w języku esperanckim. W najbliższym czasie aktywiści "Kasuba Esperanto-Centro", przy poparciu władz miejskich Kartuz z przewodniczącą mgr Marią Patoczek, pragną wydać prospekt "VERDA KASUBIO" /"Zielone Kaszuby"/ oraz informator o Kartuzach. Wydaje się, że Zrzeszenie winno tu też udzielić daleko idącej pomocy. /wk/



recenzje  
noty



## **P**roblematyka kaszubsko-pomorska w czasopiśmiennictwie

- 1/ Białecki Tadeusz, Ludność niemiecka na Pomorzu Zachodnim w 1945 roku. "Przegląd Zachodni" 1968, nr 1, s. 61-82
- 2/ Bogacki Franciszek, Spór o Pocztę Polską w Gdańsku. "Przegląd Zachodni" 1967, nr 6, s. 358 - 369
- 3/ Bolduan Rajmund, Prawda o ludziach pomorskiego podziemia. "Rejsy" 1968, nr 13
- 4/ Bolduan Rajmund, Odeszli w słoneczny poranek /Stutthof/. "Dziennik Bałtycki" 1968, nr 88
- 5/ Bolduan Rajmund, Amicus Poloniae /o P. Neureiterze i jego związkach z Kaszubami/. "Dziennik Bałtycki" 1968, nr 89
- 6/ Ciechanowski Konrad, Z obozu do walki /współpraca jeńców radzieckich z pomorską partyzantką/. "Pomorze" 1968, nr 8
- 7/ Czychowski Mieczysław, Portrety artysty /Władysław Lica/. "Litera" 1968, nr 4, s. 12-13
- 8/ Filipowiak Władysław, Słowiańskie miejsca kultowe Pomorza Zachodniego w świetle badań archeologiczno-toponomastycznych. "Przegląd Zachodniopomorski" 1967, nr 5, s. 5-15

- 9/ Lemański Alfons, Jak do drzewiej bywało ... /zwyczajnie wielkanocne/. "Dziennik Bałtycki" 1968, nr 89
- 10/ Łyczkowski Eugeniusz, Geneza polsko-gdańskich układów z 13 i 22 kwietnia 1920 r. "Przegląd Zachodni" 1967, nr 6, s. 346-358
- 11/ Muszyński Adam, Kościoły a germanizacja /na obszarach Słowińców/. "Argumenty" 1968, nr 12 i 13
- 12/ Marciniak Ryszard, Kapituła Kamieńska oraz rozwój jej posiadłości w średniowieczu. "Przegląd Zachodniopomorski" 1967, nr 5, s. 31-59
- 13/ Myślenicki Wojciech, Wolin i wolinianie w legendach i historii. "Przegląd Zachodniopomorski" 1967, nr 5, s. 61-89
- 14/ Olejnik Janusz, Czas teraźniejszy Bazyliki WMP w Gdańsku. "Słowo Powszechne" 1968, nr 89-91
- 15/ Ropelewski Andrzej, Załogi trawlerów rybackich Spółki "Pomorzanie" w Gdyni w 1938 r. "Przegląd Zachodniopomorski" 1967, nr 5, s. 91-99
- 16/ Schröder Horst-Diether, "Gesta Danorum" Saxo Grammatyka jako źródło do dziejów Słowian nadbałtyckich. "Przegląd Zachodniopomorski" 1967, nr 5, s. 17-30
- 17/ Stawecki Piotr, Mniejszość niemiecka w Polsce w latach 1918-1936 w świetle ekspertyzy polskiej z 1936 r. /m.in. problem kaszubski/. "Przegląd Zachodni" 1968, nr 1, s. 46-61
- 18/ Suchecki Hubert, Ze wspomnień o Franciszku Sędzickim. "Za i Przeciw" 1968, nr 14
- 19/ Wojtowicz Zdzisław, Pamięci człowieka szlachetnego /Alfred Świerkosz/. "Ilustrowany Kurier Polski" 1968, nr 80
- 20/ Zajewski Władysław, Mikołaj Massias rezydent.

francuski w Gdańsku. Szkic biograficzny. "Literary" 1968, nr 3, s.26-27

21/ Zajewski Władysław, Układ francusko-gdański / 13 lipca 1807/ /również tekst układu/. "Literary" 1968, nr 4, s.28-29

22/ Zientara-Malewska Maria, Patron Polaków. Ze wspomnień o ks. dr. Bolesławie Domańskim. "WTK" 1968, nr 14

Zestawił: T.BOL.



XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

Z UŚMIECHEM PO NASZEJ ZIEMI

[illegible]

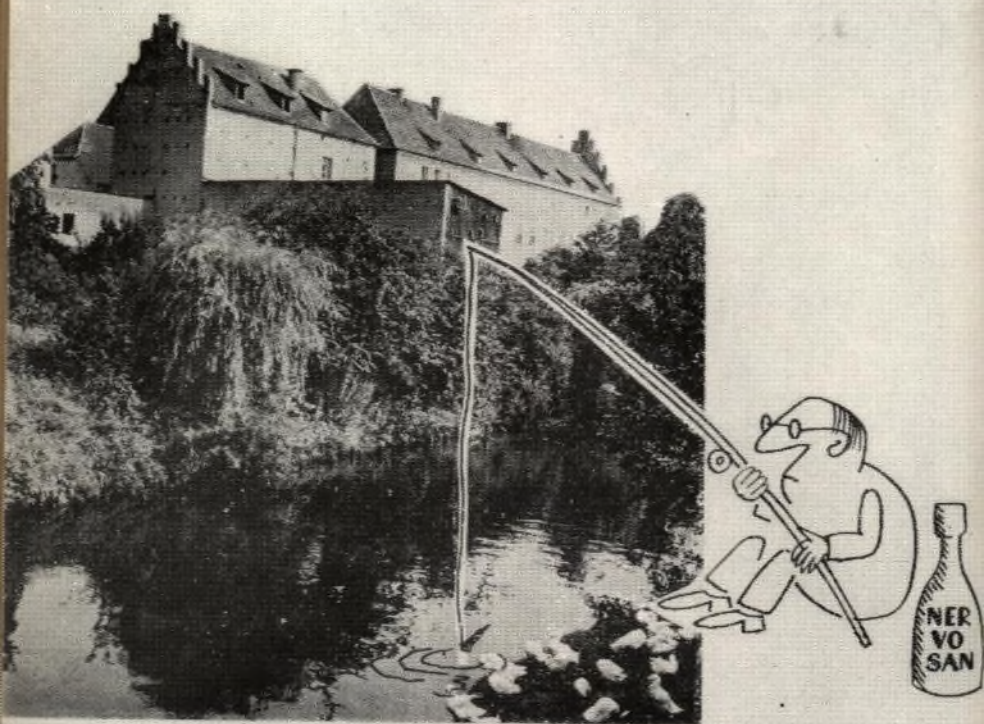
## Jeziro Raduńskie

Jezioro Raduńskie ma blisko 850 ha, przy głębokości dochodzącej do 40 m i długości ponad 16 km.

Jezioro Raduńskie wchodzi oczywiście w skład rozległego kompleksu jezior zwanych Jeziorami Raduńskimi, do których zaliczamy jeszcze jeziora: Stężyckie, Lubiwisko, Dąbrowskie, Patulskie, Ostrzyckie, Wielkie Brodno, Małe Brodno i Kłodno. Autorki "Bedekera Kaszubskiego" - Izabella Trojanowska i Róża Ostrowska-hasło "Raduńskie jeziora" rozpoczynają tak: "Strojna ziemia kaszubska nie zapominała i o naszyjniku, który godnie by ją zdobił. Spięta wśród swych wzgórz i lasów sznur dziewięciu jezior, tu i ówdzie przyczeplając doń jeszcze cztery jeziorne klejnoty. Ów naszyjnik to głośnie z urody Jeziora Raduńskie ..."

Opisanie samego jeziora Raduńskiego w tej rubryce jest wyjątkowo trudne. Żaden opis, który powinien obejmować i poszczególne miejscowości położone nad jeziorem, i uroki krajobrazu, i właściwości wód, i wiele innych aspektów, nie odda stanu faktycznego. Czytelnicy wiele ciekawostek, opisy tras turystycznych znajdą w szeregu spacjiastycznych przewodnikach, ale radzimy nie studiować przewodników a pojechać i zobaczyć ów "naszyjnik" /wk/





[illegible]

Z UŚMIECHEM PO NASZEJ ZIEMI

[illegible]

## Zamek w Leborgku

Zamek ten położony jest na wysepce, w pd.-wsch. części miasta, poza obrębem murów obronnych. Jego budowę ukończono w 1363 r. Dostępu do zamku broniły wody rzeki Łąby i jej sztucznego odgałęzienia w postaci kanału młyńskiego. Trzykondygnacyjowa, podpiwniczona budowla uzyskała od wschodu ładny, zachowany do dziś szczyt gotycki. Zamek zmieniał kilkakrotnie właścicieli. Niszczony przez wojny i czas budynek przerabiano parokrotnie, a w 1935 r. przebudowano gruntownie na siedzibę sądu. Zachowały się w pierwotnej postaci jedynie wschodnie piwnice, a na zewnętrznych ścianach można dojrzeć zarys ostrołucznych okien oraz dekoracyjnych wnęk. Z budynków przedzamcza zachowały się fragmenty murów gotyckich w czynnym do dziś, dawnym młynie zamkowym.

/ Tekst w/g : F. Mamuszki - Województwo gdańskie.  
(W-wa 1959); F. Mamuszka - Budowle obronne Ziemi Gdań-  
skiej (Gdańsk 1966). (w/

Rys. Zbigniew Jujka

[illegible]

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

## Z UŚMIECHEM PO NASZEJ ZIEMI

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

### Kościół Św. Trójcy i kaplica Św. Anny

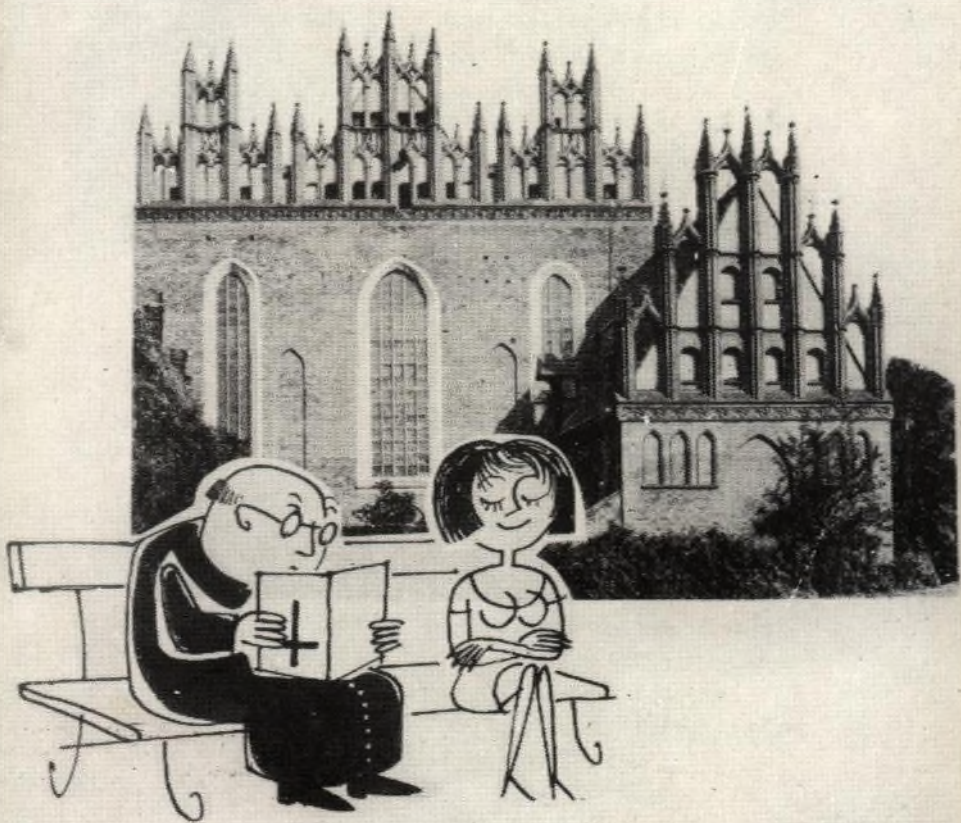
Jest to trzynawowa budowla halowa z głęboko wysuniętym w kierunku wschodnim prezbiterium. Szeroką gładką fasadą zachodnią o trzech wysokich ostrołukowych oknach zdobi piękna korona ażurowych szczytów. Ten trójdzielny najeżony sterczynami szczyt jest główną dekoracją zewnętrzną bryły kościelnej. Budowę kościoła rozpoczęli w r. 1431 franciszkanie. W czasie budowy, w r. 1503, nastąpiła katastrofa: pod naporem dachu i sklepień zawaliła się północna ściana korpusu głównego, pociągając za sobą sklepienia, dach i pięć filarów. Pracę rozpoczęto od nowa. W r. 1556 kościół i klasztor przechodzi w ręce ewangelików. W czasie ostatniej wojny świątynia doznała poważnych uszkodzeń, część prezbiterialna spłonęła. Z zabytków wnętrza wróciła na swoje miejsce ambona z 1541 r.

Do południowego naroża zachodniej fasady kościoła św. Trójcy przylega kaplica św. Anny, której szczyt zachodni tworzy harmonijną całość ze zwieńczeniem kościoła. Zbudowana została w r. 1480 na specjalne życzenie Kazimierza Jagiellończyka dla polskiej ludności Przedmieścia. Barokowa ambona z r. 1721 zdobiona jest polichromowanymi figuralnymi rzeźbami.

/Tekst wg "Poznajemy Gdańsk" (autorstwa m.in. St. Idzika i H. Radowicza), Gdynia 1960 /wk//

Rys. Zbigniew Jułka

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX





XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

## Z UŚMIECHEM PO NASZEJ ZIEMI

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

### Brama Targowa w Elblągu

Brama ta strzegła pn. wejścia do Starego Miasta. Jest to ceglana, wzniesiona na planie czworoboku budowla gotycka. Dolna jej część (do wysokości 13 m) wybudowana została w 1939 roku. W latach 1420-1430 dobudowano do niej od zewnątrz Bramę Przednią z dwoma basztami, podwyższając równocześnie do dzisiejszej wysokości wynoszącej 26 m. Obecny hełm pochodzi z odbudowy 1950 roku.

Ciekawostką zabytku jest wykute w granitowych odbojach wyobrażenie łopaty. Narzędziem tym uratował miasto w 1521 r. młynarczyk, przecinając sznur brzozy która spadłszy zamknęła otwór bramy, uniemożliwiając wkroczenie silnego oddziału krzyżackiego do nieprzygotowanego na napaść Elbląga. Oddział ten z polecenia księcia Albrechta przybył w ciągu nocy z Tolkmienka i ukrywając się w krzakach oczekiwał na otwarcie bramy, by zniemacka wpaść do wnętrza i opanować miasto. Dzień ten (9marzec) obchodzony był odtąd corocznie, aż do rozbiorów, jako miejskie święto.

/Tekst wg Fr. Mamuszki: Województwo gdańskie -W-wa , 1959. /w//

Rys. Zbigniew Jujska

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

K O K O X O K O K O K O K O X O K O K O K O K O K O K O K O K O K O K O K O K O K O

Z UŚMIECHEM PO NASZEJ ZIEMI

[illegible]

Kościół w Żarnowcu

Jest to cenny zabytek architektury gotyckiej, zbudowany w pocz. XIV wieku (dolne partie murów pochodzą prawdopodobnie z XIII stulecia). Widoczne są ślady późniejszych przeróbek i przebudowań. Ostatnia, w czasie której więź przykryto hełmem, miała miejsce w 1898 roku.

Wnętrze jednonawowe kryje liczne wartościowe dzieła sztuki. Najcenniejszym z nich jest rzeźba Madonny przy pn. ścianie (z XIVw.), w której postaci artysta przedstawił rodzinny, kszubski typ urody kobiecej. Prócz tego w świątyni tej znajdują się dwie gotyckie kamienne rzeźby, pochodzące najprawdopodobniej z ok. 1500 r. oraz dwie inne z końca XVI wieku.

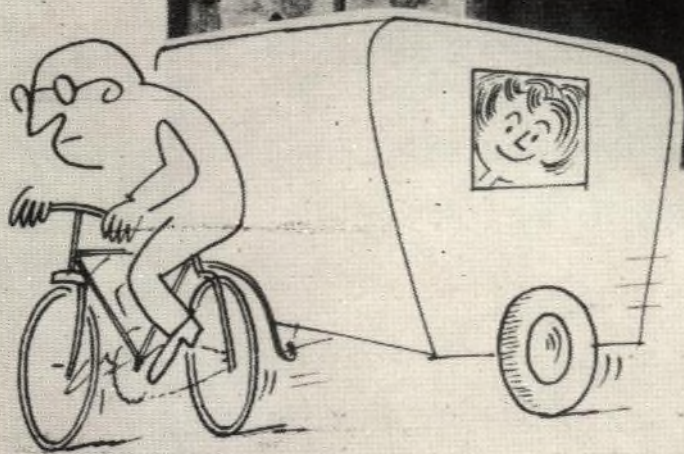
W podziemnych krużgankach klasztornych znajduje się niezwykle cenny skarbiec. Są to resztki dawnego bogatego zbioru paramentów, który sprzedany został do Berlina po kasacie klasztoru. Pozostały m.in. misternie kute i bogato zdobione kielichy oraz dwa pięknie malowane antyfonarze z XVII wieku. Bardzo rzadkim zabytkiem jest para gotyckich ampułek, wykonanych ze srebra i złoczonych. Również jedynym tego rodzaju zabytkiem pomorskim z okresu gotyku jest srebrny relikwiarz św. Urszuli (XIV w.). Sporo jest zabytkowych szat kościelnych, głównie z XVIII w.; szat o bogatym haftcie, dzieło miejscowych zakonnic.

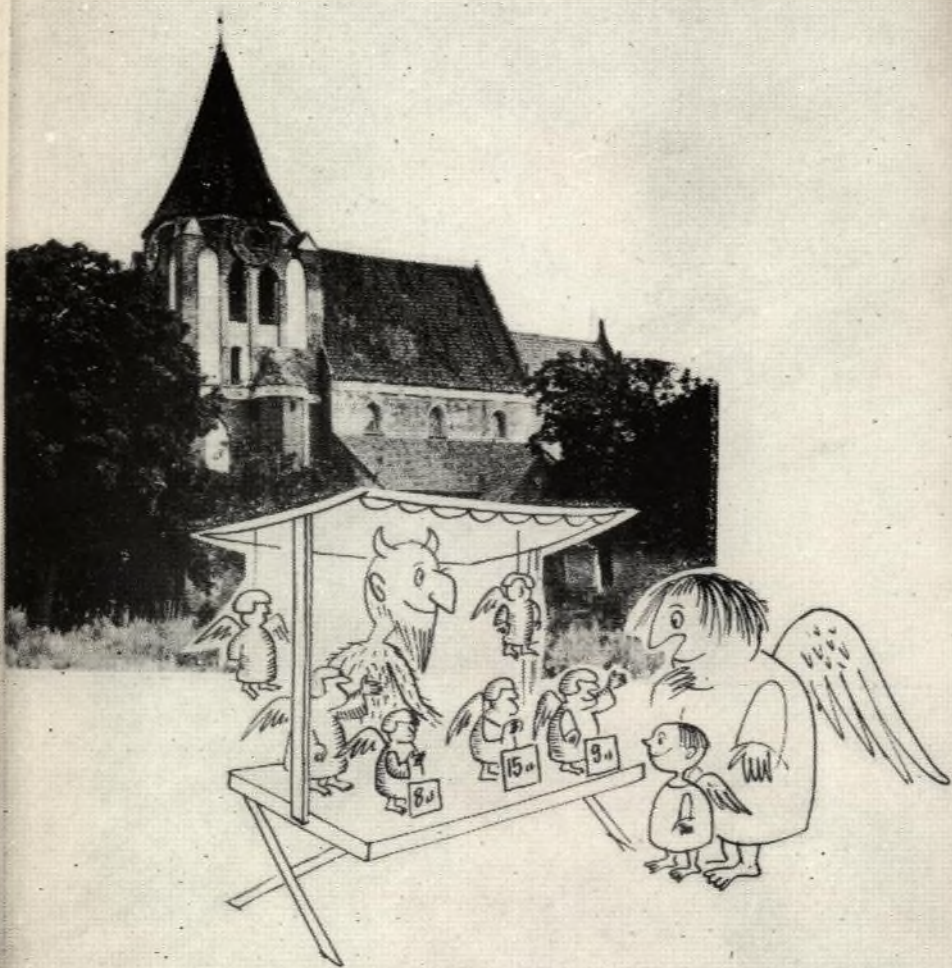
Żarnowiec, położony jest 6 km od Krokowa, niedaleko Jez. Żarnowieckiego.

/Tekst wg. F.Mamuszki:Województwo Gdańskie, W-wa 1959  
wk.

Rys. Zbigniew Jułka

[illegible]





**począ  
biuletynu**



## **W**platy na fundusz biuletynu

|     |                                          |       |
|-----|------------------------------------------|-------|
| 119 | -Wiktor Hirs - Kartusy                   | 100,- |
| 120 | -Jerzy Gniech - Wejherowo                | 100,- |
|     | -Henryk Konefka - Gdańsk                 | 100,- |
|     | -Powiatowa Biblioteka Publ.-Wejherowo    | 48,-  |
|     | -Ognisko Kultury -Bojano                 | 48,-  |
|     | -Leon Witkowski -Toruń                   | 100,- |
|     | -Miejska Biblioteka Publiczna-Rumia      | 48,-  |
|     | -Ognisko Kultury - Sychowo               | 48,-  |
|     | -Antoni Rybakowski -Wejherowo            | 100,- |
|     | -Miejska Biblioteka Publ. -Reda          | 48,-  |
|     | -Ognisko Kultury - Bychowo               | 48,-  |
| 130 | -Wydział Oświaty i Kultury - Pruszcz Gd. | 48,-  |
|     | -Edmund Tokarski - Wejherowo             | 50,-  |
|     | -Gromadzka Biblioteka Publ.- Chwaszczyno | 48,-  |
|     | -Ognisko Kultury - Częstkowo             | 48,-  |
|     | Stefan Fikus - Lębork                    | 50,-  |
|     | -Gromadzka Biblioteka Publ. - Luzino     | 48,-  |
|     | -Ognisko Kultury-Donimierz               | 48,-  |
|     | -Leon Pohnke - Gdynia                    | 100,- |
|     | -Gromadzka Biblioteka Publ. -Kielno      | 48,-  |
|     | Ognisko Kultury - Góra Pomorska          | 48,-  |
| 140 | Centr.Zw.Spółdz.Oszczędn-Pożyczkowych -  |       |

|                                          |       |
|------------------------------------------|-------|
| -Oddz.Wojew. w Gdańsku                   | 250,- |
| 141-Józef Cegiel - Gorzów Wlkp.          | 100,- |
| -Gromadzka Biblioteka Publ. - Szemud     | 48,-  |
| -Ognisko Kultury - Gowino                | 48,-  |
| -Franciszek Fischöder -Kościerzyna       | 50,-  |
| -Skoła Podstawowa -Bojano                | 50,-  |
| -Leon Ellwart - Strzelno                 | 100,- |
| -Gromadzka Biblioteka Publ. -Gniewino    | 48,-  |
| -Ognisko Kultury -Jeleńska Huta          | 48,-  |
| -Robert Szumocki - Kościerzyna           | 40,-  |
| 150-Gromadzka Biblioteka Publ. -Kostkowo | 48,-  |
| -Ognisko Kultury -Leśno                  | 48,-  |
| -Urszula Stefańska-Cząstkowo             | 40,-  |
| -Jerzy Czarnowski - Kartuzy              | 50,-  |
| -Bernard Sychta - Pelplin                | 290,- |
| -Gromadzka Biblioteka Publ. - Żebno      | 48,-  |
| -Ognisko Kultury - Nowy Dwór             | 48,-  |
| -Róża Witosławska -Oliwa                 | 50,-  |
| -Maria Szymichowska - Kartuzy            | 50,-  |
| -Gromadzka Biblioteka Publ. -Koleczkowo  | 48,-  |
| 160-Ognisko Kultury - Kostkowo           | 48,-  |
| -Jadwiga Raabe - Kartuzy                 | 60,-  |
| -Stanisław Formela - Gdańsk              | 50,-  |
| -Miejska Biblioteka Publ. - Gdynia       | 50,-  |
| -Jan Kneba - Kościerzyna                 | 50,-  |
| -Gromadzka Biblioteka Publ. - Gościcino  | 48,-  |
| -Ognisko Kultury - Osowa                 | 48,-  |
| -Jadwiga Wegner - Karsin                 | 50,-  |
| -Gromadzka Biblioteka Publ. -Linia       | 48,-  |
| -Ognisko Kultury - Przetoczyno           | 48,-  |
| 170-Józef Laboń - Karsin                 | 50,-  |
| -Bogumiła Jażdżewska - Wiele             | 50,-  |
| -Gromadzka Biblioteka Publ. - Strzecz    | 48,-  |
| -Ognisko Kultury - Tępcz                 | 48,-  |
| -Wacław Bruski - Białe Błoto             | 30,-  |
| -Edward Jażdżewski - Karsin              | 50,-  |

|                                         |       |
|-----------------------------------------|-------|
| -Zdzisław Stankiewicz - Starogard Gd.   | 50,-  |
| -Gromadzka Biblioteka Publ. - Rybno     | 48,-  |
| -Ognisko Kultury - Warzno               | 48,-  |
| -Zygmunt Januszcwski - Karsin           | 50,-  |
| 180-Józef Syper - Lichnowy              | 50,-  |
| -Gromadzka Biblioteka Publ. - Nowy Dwór | 48,-  |
| -Ognisko Kultury - Zelewo               | 48,-  |
| -Witold Szulc - Chojnice                | 50,-  |
| -Wiktoria Bolatek - Chojnice            | 50,-  |
| -Ognisko Kultury - Poblocie             | 48,-  |
| -Ryszard Senderkiewicz - Chojnice       | 80,-  |
| -Felicia Hew - Chojnice                 | 50,-  |
| -Jerzy Miloch - Wiele                   | 50,-  |
| -Józefa Landowska - Czersk              | 50,-  |
| 190-Petronela Tuszkowska - Osowo        | 50,-  |
| -Władysław Babiński - Będźmierowice     | 50,-  |
| -Bernard Tomaszewski - Chojnice         | 50,-  |
| -Roch Grabowski - Stawęcin              | 50,-  |
| -Rudolf Lwicky - Chojnice               | 50,-  |
| -Aleksander Elas - Chojnice             | 50,-  |
| - Krystyna Falkowska - Chojnice         | 50,-  |
| -Krystyna Domeradzka - Chojnice         | 50,-  |
| -Wiesława Studzińska - Wiele            | 30,-  |
| -Roman Radziejewski - Czersk            | 50,-  |
| 200-Janina Narloch - Karsin             | 50,-  |
| -Antoni Lichnowski - Chojnice           | 50,-  |
| -Stefan Narloch - Osowo                 | 50,-  |
| -Ewa Sawicka - Warszawa                 | 100,- |
| -Poznańskie Tow.Przyjaciół Nauk         | 100,- |
| -Powiatowy Dom Kultury -Wejherowo       | 48,-  |
| 206-Ognisko Kultury - Nadole            | 48,-  |

Wszystkim ofiarodawcom bardzo serdecznie dziękujemy. Czytelnikom przypominamy, że wpłaty na FUNDUSZ BIULETYNOWY można dokonywać na konto Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego - PKO Oddział Gdańsk - numer 52-9-134, zaznaczając "Fundusz Biuletynu".



---

Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca

---

Redagują: Wojciech Kiedrowski i Halina Richter. Ko-  
legium: Lech Bądkowski, Wojciech Kiedrowski, Bernard  
Kula /przewodn./, Halina Richter i Bernard Szczesny.  
Adres redakcji: Gdańsk, ul. Korzenna 33/35. Powiela  
spółdzielnia "Nowator", Gdynia ul. Śląska 64.  
Nakład 1500 egz. Zł. 281      Zesz. E-2 z 26.4.68 r.

---



**Zarząd Główny Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego**  
**GDĄSK, UL. KORZENNA 33/35**

Now. Gdy zam. 2857 67 90° 0 Z2